# odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok V. ŁÓDŹ, 9. IX. 62 r.

Nr 36 (236) Cena 1 zł


FELIKS BĄBOL

# JAK ubrać naród?

Jeśli nasz naród wyda w tym roku dwadzieścia kilka miliardów złotych na odzież, obuwie, dzianiny, tkaniny i inne artykuły niezbędne do okrycia, to jest to już chyba cały problem. Nie stanowi jeszcze ten wydatek takiej części dochodu narodowego, jak w krajach o wyższej niż u nas stopie życiowej — niemniej jednak z roku na rok ludzie pracy w Polsce przeznaczają z dochodów własnych coraz więcej złotówek na to, co w skrócie nazywa się odzieżą.

Ten proces zwiększania wydatków na ubranie, obuwie itp. niewątpliwie podpatrzyli ludzie z przemysłu odzieżowego, gdyż rozwijając produkcję konfekcji pragną, by człowiek pracy zostawiał swoje złotówki przeznaczone na odzież właśnie u nich. Spowodowano więc w efekcie, że odzież produkowana przez przemysł kluczowy, spółdzielczość pracy i przemysł drobny z roku na rok jest już coraz bardziej „do noszenia". Oznacza to, że coraz mniej ludzi pracy w Polsce kupuje w sklepach tekstylnych kupony tkanin i zanosi je do krawców.

Oczywiście, w wysiłkach tych przemysł odzieżowy w kraju jest jeszcze daleki od „mety". W Stanach Zjednoczonych, jak twierdzą znawcy, 85 procent ludności ubiera się w konfekcję gotową, w krajach takich jak Włochy czy Francja — 60. U nas na każde 100 metrów tkanin wyprodukowanych w przemyśle tzw. metrażowym, 60 metrów idzie jeszcze do krawców miarowych, do spółdzielń i państwowych przedsiębiorstw krawieckich typu „Dom Mody", a jedynie 40 — do przemysłu odzieżowego. Tak czy owak jest to już znaczny postęp, jeśli się przyjmie, że jeszcze kilka lat temu zaledwie 20 metrów ze 100 szło na konfekcję gotową.

Na tle wzrostu sprzedaży odzieży gotowej doszli do głosu mistrzowie jakości. Jeśli chcesz np. zabłysnąć w kraju i za granicą... płaszczem męskim — kup go u „Próchnika" w Łodzi, jeśli latem pragniesz zrobić furorę koszulą — to made „Wólczanka"... W produkcji ubrań męskich wyspecjalizowały się Bytomskie Zakłady Odzieżowe, płaszczy damskich — spółdzielnia w Świdnicy, artykułów dziewiarskich — „Kasprzak". Droga przemysłu odzieżowego do sukcesów nie jest jednak usłana różami:

ponieważ często dostawy dzianin różniły się od przedstawionych handlowi wzorów, handel zmuszony jest...

Dalszy ciąg na str. 2

Krasnal Hałabała wykonany przez zrehabilitowaną 12-letnią Danusię Z.
*(Do reportażu poniżej)*

ZBIGNIEW CHYLIŃSKI

# 18 tysięcy DRAMATÓW

**W maleńkiej sali kilkanaścioro dzieci. Siedzą w półkolistym rzędzie. Nie wstaną na powitanie gości. Nie powiedzą chórem „dzień dobry". Dobry, nie trzeba.**

**Na twarzyczkach jakby zalęknienie. Natrętną kokieterią wymusisz pojedynczy i nieśmiały uśmiech. Przejmującej ciszy nie zakłóci żaden chichot. A tak by chciało się usłyszeć bodaj jeden chichot.**

I

Są skupione. Jak dorośli w chwilach najtrudniejszego egzaminu. Całe to ich skupienie zdaje się być obliczone na trzymanie: siebie w krzesłach, a w rękach instrumentów. Kiedy Siostra Piusa uderzy w klawiaturę, staną się samym skupieniem. Teraz już nie tylko trzeba trzymać instrumenty, ale również w nie uderzać niedowładną dłonią. We właściwym takcie i przede dziale. Razem triangle i bębenki, osobno klekotki i czynele. Potem jeszcze znowu triangle i pałeczki. W końcu wszyscy razem. „Stary niedźwiedź mocno śpi". Piano, forte, forte, piano. Słabo, silniej, z całej siły. Bo to przecież jest orkiestra.

Kiedy skończy już swój koncert ta orkiestra, Siostra Piusa wyrwie cię z zadumy:

„No, a teraz pan redaktor powie, co to była za melodia. Zobaczymy, czy pamięta jeszcze tę piosenkę..."

Pan redaktor nie powie, choć pamięta. Pan redaktor stracił język w gębie.

Dziecięce popisy mają naturalną siłę rozczulania. Ten popis zmiękczy najtwardszego. Jest niechybnym środkiem wyciskania łez. Dla przybysza, gapia. Ale nie dla ludzi, którzy tu pracują. Oni są i muszą być odporni na wzruszenia. Odporni — to nie znaczy, że ten widok nie ściska ich za serca.

II

Przywożą tu je z całego kraju, w stanach zdających się beznadziejnych. Wychudłe, pokręcone w niedowładnym bezruchu. Są w wieku przeważnie od 0 do 14 lat, najczęściej czterosiedmioletnie. Prócz krótkich, nie pomiętych jeszcze metryk urodzenia mają długie i pożółkłe od czasu historie chorób. Na nich złowrogie rozpoznania: meningitis basilaris bądź encephalomeningitis tuberculosa. Po polsku: gruźlicze zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych i mózgu. Przedtem tam, w klinice lub szpitalu, przez co najmniej 3 miesiące, a niekiedy i 8, chodziło w ogóle o to, żeby utrzymać je przy życiu. Teraz będzie szło o to, żeby uczynić je zdolnymi do życia.

Na schodach pomiędzy pierwszym i drugim piętrem kuśtyka z góry na dół dwulatek. Nie umiem odróżnić: chłopak czy dziewczynka. Żona szepce mi: „połowiczny prawostronny niedowład kończyn. Spójrz na te sztywno przykurczoną do tyłu dłoń. Nazywa to się niedowładem spastycznym. Od spazm". Dziecko uśmiecha się niby do matki i ojca. Czuję spazm mięśni własnej twarzy i z trudem je rozluźniam, żeby uśmiechnąć się do dziecka.

Na korytarzu pierwszego piętra, na dolnym stopniu schodów wiodących w górę, na poły siedzi, na poły leży czternastoletnia chyba dziewczynka. Opiera się plecami o krawędź stopnia, nogi ma wyciągnięte bezwładnie przed siebie. Żona powiada: „Obustronne porażenie kończyn i zmiany psychiczne. Oto nadjeżdża wózek, zabiorą ją chyba do kąpieli i masażu..."

Jedna z sal. Łóżeczka jak klatki. Dzieci jak zwierzątka. Jak wszystkie dzieci — sympatyczne, mimo że jakoś bezmyślnie uśmiechnięte.

Na dnie klatki pod pk-

Dalszy ciąg na str. 5

Ćwiczenia w solance mające na celu usprawnienie władności palców. Stół rehabilitacyjny zrobiony „własnym przemysłem", według własnego pomysłu. Fot. Krogulec

# ROZMOWA ODGŁOSÓW Z:

## prof. dr. STANISŁAWEM ZAGRODZKIM

### kier. Katedry Cukrownictwa i Technologii Środków Spożywczych Politechniki Łódzkiej

**o:**

- **NAJSŁODSZYM „HOBBY"**
- **ŚWIATOWEJ KARIERZE I PERSPEKTYWACH BURAKA**
- **CUDACH NOWYCH TECHNOLOGII**

— Jak doniosła prasa codzienna w pierwszych dniach września br. odbędzie się w Łodzi międzynarodowa konferencja chemii i technologii cukrownictwa, na którą przybędą wybitni naukowcy — specjaliści w dziedzinie cukrownictwa z kraju i zagranicy. Czytałam, że mają być obecni m.in. cieszący się międzynarodowym autorytetem naukowym prof. dr P. Silin z Moskwy, prof. dr J. Vasatko z CSRS i prof. dr H. Powers z Anglii. W związku z tym wydarzeniem oraz korzystając z faktu, że przy Politechnice Łódzkiej istnieje jedyna akademicka placówka naukowa w kraju, zajmująca się problemami cukrownictwa, pragnęlibyśmy uzyskać od Pana Profesora jako kierownika katedry oraz przewodniczącego komitetu organizacyjnego konferencji, odpowiedzi na kilka pytań.

Od kiedy datuje się rozwój cukrownictwa buraczanego w Polsce i w których latach zaczęliśmy się liczyć jako producent cukru na arenie światowej?

— **Termin konferencji zbiega się z datą założenia pierwszej na ziemi polskiej cukrowni buraczanej. Powstała ona w roku 1802 w Konarach koło Wrocławia. Minęło jednak prawie pół wieku, odkąd zaczęliśmy się liczyć jako poważny kontrahent na światowych rynkach cukrowniczych. Poczynając też od tych lat tj. gdzieś od roku 1920 obserwuje się stopniowy rozwój polskiego przemysłu cukrowniczego. W latach od 1920 do 1929 produkcja cukru buraczanego wzrosła u nas 5-krotnie, zaś od 1945 do 1961 aż 10-krotnie, wysuwając nasz kraj na trzecie miejsce na świecie pod tym względem.**

— Czy z tego należy wnioskować, że cukrownictwo jest naszym narodowym hobby?

— **No nie tylko naszym. Pierwszym producentem cukru w skali światowej, jest Związek Radziecki, dalej takie kraje jak Francja, Czechosłowacja, Niemcy, zarówno NRD jak i NRF, Dania, Holandia czy Anglia. Warto też wspomnieć, że my Polacy szczycimy się nie tylko wysoką produkcją cukru, ale też poważnym dorobkiem w dziedzinie naukowych zagadnień technologii, aparatury oraz budowy całych nowoczesnych obiektów cukrowniczych dla kraju i na eksport. Eksportujemy fabryki cukru do ZSRR, Chin, Wietnamu, Grecji, Maroka, Iranu, Iraku. Prowadzone są na ten temat rozmowy z krajami Ameryki Południowej, współpracujemy blisko z Kubą, dla Egiptu i Korei budujemy fabrykę kwasu cytrynowego, prowadzimy zdecydowanie w automatyzacji przemysłu cukrowniczego wśród krajów zrzeszonych w ramach Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej.**

— Wspomniał Pan Profesor, o innych, poza produkcją cukru, osiągnięciach polskiego przemysłu cukrowniczego. Jakie one są?

— **Przemysł cukrowniczy to także i produkty uboczne, przerabiane następnie na bardziej szlachetne takie jak: spirytus, suszone drożdże i inne. Dążeniem naszym jest zastosowanie cukru jako surowca dla przemysłu chemicznego a zwłaszcza farmaceutycznego w szerszym niż dotychczas zakresie, aby można było z niego wytwarzać nie tylko witaminy i inne leki — jak dotychczas — ale i powłoki ochronne (lakiery) do puszek z konserwami, gwarantujące konsumentom pełną nieszkodliwość itp. Nad opracowaniem naukowym nowych technologii, dzięki którym będziemy mogli stale rozwijać i unowocześniać przemysł cukrowniczy w Polsce, ślęczy sztab ludzi w Instytucie Przemysłu Cukrowniczego w Warszawie, w Biurze Projektów Przemysłu Cukrowniczego oraz w naszej katedrze.**

**Mówiąc o dzisiejszych osiągnięciach nie wolno pominąć nazwisk wielkich uczonych polskich, którzy dla rozwoju polskiego przemysłu cukrowniczego położyli wybitne zasługi: profesorów Kazimierza Smoleńskiego, zamordowanego przez hitlerowców na Pawiaku, dr dr Kowalskiego, Kozakowskiego i innych polskich naukowców.**

— A dorobek naszej katedry łódzkiej? Już choćby z faktu, że to właśnie Łódź obrano na miejsce międzynarodowej konferencji cukrownictwa wynika, że jest on niemały.

— **Katedra Cukrownictwa PŁ została zorganizowana przeze mnie w roku 1950. Stąd wychodzi około 20 cukrowników rocznie, z tytułem „magistra inżyniera". Niezależnie od prac dydaktycznych prowadzone są w Katedrze badania naukowe. Główne kierunki tych badań obejmują procesy wydobywania soku, oczyszczania soku, gospodarki cieplnej, krystalizacji, zastosowania wymieniaczy jonowych oraz nowych metod analitycznych, związanych z automatyzacją i samoczynną regulacją procesów technologicznych cukrownictwa.**

**W ostatnim dziesięcioleciu zostało opracowanych i opublikowanych około 100 prac i przyczynków naukowych z zakresu cukrownictwa i produktów ubocznych. Wiele prac dotyczyło nowych rozwiązań aparaturowych i modernizacji urządzeń cukrowniczych. Nad pomyślnym przebiegiem tych prac czuwają pracownicy naukowi naszej katedry, wśród nich dr dr H. Zaorska, J. Dobrzycki i S. Wysocki.**

**Dodać należy, że w skład katedry wchodzi również Zakład Technologii Krochmalu i Syropu, kierowany przez doc. dr A. Sroczyńskiego. Bogaty dorobek tej pracowni naukowej zasługuje na osobne omówienie.**

— W czym wyraża się istota nowoczesnych technologii i związanych z tym dążeń naukowców-cukrowników?

— **Zawsze dążymy do otrzymania sacharozy w postaci jak najczystszej. Mimo, że właśnie cukier jest jedną z najczystszych substancji chemicznych, jakie znajdują się w handlu, chcemy aby był on jeszcze czystszy. Drugie nasze dążenie, to zwiększenie wydajności produkcji cukru z buraków. Aby to osiągnąć musimy stale doskonalić procesy dyfuzji (wydobywania cukru z buraków), oczyszczania i krystalizacji soku. Te wszystkie procesy oparte są o technologie chemiczne. Stały rozwój techniki pozwala na pomyślną realizację tych usiłowań, na takie doskonalenie produkcji, aby odbywała się ona jak najmniejszym kosztem i przy coraz mniejszym wysiłku mięśni robotnika.**

**Rozm. K. WYRZYKOWSKA**

# JAK UBRAĆ NARÓD?

## Dalszy ciąg ze str. 1

fotografować wzory, by je potem porównać z tym, co otrzyma,

ponieważ tajemnicę wysokiej jakości upatrywano początkowo jedynie w długości serji produkowanych artykułów odzieżowych — zaczęto je skracać aż do absurdu.

— Z tymi krótkimi seriami — zwierzał mi się pewien łódzki specjalista od odzieży — poszliśmy już — bez mała — do domu wariatów. Można z nimi szaleć w spółdzielniach, można w małych wytwórniach, w „Telimenie", ale przecież jeśli chodzi o to, by odzież masowa, a więc z „klucza" taniała, serie nie mogą być za krótkie...

Ów specjalista nie przesadził. Bo czym może górować przemysł nad krawiectwem miarowym, jak nie ceną? Ceną i modą.

Właśnie modą. Prywatny mistrz igły sprowadzi sobie nawet kilka „Voguéów", ale i tak to, co uszyje, będzie bez smaku. Bo moda wymaga poczucia smaku, a nie tylko ładnego stębnowania, wymaga stałego kontaktu z plastyką i ze współczesną modą w świecie, tu nie wystarczy kilka egzemplarzy „Voguéa". I dlatego tyle wysiłku i przemysł i handel wkładają w organizację pokazów aktualnej mody, tak często urządzają spotkania „detalu" z „produkcją" i społeczeństwa z... modelkami, że wspomnimy choćby ostatnią rewię mody w łódzkiej Hali Sportowej, która zgromadziła ponad 1000 przedstawicieli handlu detalicznego, tłum modelek, prasę i nawet zespół jazzowy, nie mówiąc już o parze artystów Dobrowolska — Spychalski.

Na marginesie tej rewii trzeba powiedzieć, że laboratoria i plastycy pracujący na rzecz uwspółcześnienia polskiej odzieży uczynili wiele, by pokazać co potrafią a handlowcy z całej Polski zdobyli chyba dość dużo materiału orientacyjnego na temat: co ładne, co trzeba robić, by wmówić towar klientowi, co zamówić w hurtowni. Zresztą zabiegi podejmowano na wysokich wręcz szczeblach: w przeddzień łódzkiego pokazu wiceministrowie Wojtkowski i Kołodziej cały dzień męczyli się w Radomiu, by wreszcie ostatecznie zatwierdzić wzory obuwia na najbliższe sezony.

Tegoż jednak wieczoru z anten telewizyjnych padły słowa, które zmroziły handlowcom od obuwia krew w żyłach. Oto podano informację, że damskie szpilki przejdą wkrótce znaczną metamorfozę, że moda przewiduje teraz już tylko obcasy niskie, kilkucentymetrowe. Ta wiadomość wywołała nieco zamieszania, ale okazało się, że to nieprawda — szpilki nadal będą modne, co prawda w granicach od 3 do 6 cm, a wyższe jedynie na wyjątkowe okazje — ale przecież będą. Handlowcy odetchnęli.

Widzieliśmy kilkadziesiąt modeli obuwia damskiego na sezon jesień-zima roku bieżącego i wiosna-lato roku przyszłego: wszystkie są lekkie, delikatne, głęboko wycięte. W zakresie obuwia męskiego — dalsze ograniczenie kolorów — przeważnie brązowe i czarne, ale również wszelkie odcienie czerni i brązu.

W tym miejscu mała dygresja: wzbudziłbym chyba w Hali Sportowej niemałą sensację, gdybym... kilka miesięcy temu, kupił w Budapeszcie buty, które mi tam proponowano w sklepie, ale nie mogłem się zdecydować. Były to bowiem męskie półbuty czarne, z tym, że ta czerń była właściwie czernią brązową. W Budapeszcie myślałem: Węgrzy pewnie nie mają chemikaliów do wyrobu czarnej skóry, czerń im nie wychodzi... I nie kupiłem tych butów, choć teraz w Łodzi byłbym najmodniej ubranym człowiekiem. Okazuje się, że Węgry stosują w produkcji odcienie czarne już od roku, a u nas takie najmodniejsze męskie buty opuszczą fabryki dopiero za parę miesięcy!

Jeśli Czytelnicy spotkają na wiosnę czy latem kobietę, pokazującą niżej sukienki kolana, śmiało będą mogli jej powiedzieć, że nie wie, co to jest moda. Bo na wiosnę i lato będą modne sukienki zakrywające kolana. Modne będą też tkaniny w grochy i wszelkie wzory geometryczne, mocne będą (na popołudnie) kwiaty. Równie krytycznie spójrzcie na spodnie mężczyzn: będą nieco rozszerzone od kolan w dół i nie wiadomo, czy „chwycą". „Chwyci" jednak chyba rozcięcie marynarek z tyłu (pośrodku), utrzymają się nadal — jak każe męska moda — spodnie bez mankietów.

Trzeba jednocześnie stwierdzić, że przemysł odzieżowy zasługuje na osobną pochwałę — za lansowanie na przyszłe sezony tego, co pokazał w Hali Sportowej. Oto większość udanych kreacji i damskich i męskich zrobiono z tkanin niskoprocentowych, wykorzystano wielkie możliwości stosowania włókien sztucznych i syntetycznych. Mamy więc już producentów-patriotów, rozumiejących, czym jest dewizowy import włókien, których w kraju brak i czym dla gospodarki narodowej jest oszczędzanie dolarów.

* * *

Co równie ciekawe — częściej oklaskiwano na pokazie modele sukien, bluzek, spódnic itp. niż modele płaszczy. No cóż, wniosek jest chyba jeden: przemysł, plastycy w „komórkach wzorcujących" więcej zatroszczyli się o wygląd kobiety w domu, kawiarni i biurze, niż o to, jak będzie ona wyglądać na ulicy. Za granicą, a zwłaszcza w krajach wysoko zmotoryzowanych co prawda „instytucja" płaszcza i palta przeżywa się już ostatnio, w najtęższy mróz facet wsiada do wozu jedynie w garniturze. Ale skąd u nas taka pogarda dla wierzchniego okrycia?

**FELIKS BĄBOL**

# KORESPONDENCJA

**Z prawdziwą przykrością drukujemy listy pracownic naszych łódzkich kawiarni. Publikując reportaże A. Brychta mieliśmy na względzie wagę zagadnienia. Sytuacja moralno-obyczajowa w kawiarniach / jakkolwiek bardzo skomplikowana i trudna do rozwiązania, nie może przecież budzić entuzjazmu.**

**Przykrość bierze się stąd, że A. Brycht zachował się trochę jak przysłowiowy słoń w składzie porcelany, chociaż nie znaczy to, że miał do czynienia z porcelaną najwyższego gatunku.**

**Dając zainteresowanym pełną satysfakcję poprzez drukowanie ich listów, pragniemy naszych Czytelników zawiadomić, że w najbliższych numerach wrócimy do sprawy łódzkich kawiarni.**

**RED.**

**DO RED. NACZELNEGO „ODGŁOSÓW"**

**W ostatnich numerach redagowanego przez Pana tygodnika ukazały się artykuły p. A. Brychta poświęcone łódzkiej gastronomii. Niezmiernie to pożyteczne, gdyż sprawa dojrzała rzeczywiście do załatwienia i „zeuropeizowania". Właściwa atmosfera w kawiarniach interesuje w równym stopniu naszych klientów jak i nas pracowników gastronomii. „Prawdziwa cnota krytyk się nie boi" — mawiał pewien biskup. Ta część spośród nas, która nie ma nic na sumieniu, krytykę — słuszną kryitykę — chętnie przyjmuje w miarę, oczywista, jej przyzwoitości. Wszelako tam, gdzie wymienia się nazwiska i gdzie podaje się „fakty", obowiązuje prawdomówność i ścisłość. Incydent w „Teince" udramatyzowany nie bez talentu przez p. Brychta a przedstawiony jako tzw. prawda miał jednak nieco inny przebieg.**

**W dniu 22. VII. 1962 r. około godz. 18 sytuacja „na sali" wyglądała tak: przy jednym ze stolików siedziało dwóch chłopców z dziewczętami, przy innym starszy pan, rzeczywiście mąż jednej z pracownic gastronomii. W pewnym momencie weszło troje ludzi: miła dziewczyna, lat ok. 19 oraz 2 młodych ludzi, z których jeden (okazało się potem) Pański reportażysta p. Brycht. Zażądali 3 „napojów firmowych". Wypili. Z tym, że p. Brycht zostawił w szklance trochę tego napoju. W pewnym momencie — wyszłam właśnie do magazynu po świeży miód, bo napój przyrządza się według recepty zatwierdzonej przez Dyrekcję. Pan Brycht oświadczył kelnerce, że w tej szklance nie było 3 dkg miodu. Właśnie w tej chwili wróciłam. Ważąc miód zostałam poproszona przez Pańskiego reportażystę o odważenie 3 dkg miodu — ponieważ on ...iód bardzo lubi. Nie powinnam była tego robić, gdyż zachowywał się bardzo głośno, niemal arogancko, podejrzewałam nawet (przepraszam), że nie był trzeźwy. Ale cóż, nasz klient, jak mówi min. Lesz, nasz pan. W czasie gdy popełniałam „przestępstwo" uprzejmości, wybuchła dyskusja między jeszcze nie znanym mi z nazwiska p. Brychtem a p. Mazurem. Po prostu starszy pan skarcił młodego człowieka za głośne no i powiedzmy delikatnie, niezbyt taktowne zachowanie się. Pan Brycht zażądał jeszcze trochę cukru i wodę, przyrządził sobie sam napój, potem zwrócił się do p. Mazura o stwierdzenie, który napój ma właściwą zawartość. Ponieważ wiadomo — co ul to miód i miody nam dostarczane mają różne zabarwienie, może i była w KOLORZE jakaś różnica. I znów wybuchła między tymiż panami kontrowersja, nie tyle na temat pszczół, ile na temat dobrych obyczajów. Pan Brycht wybiegł zostawiając 20 zł na bufecie. Wrócił po chwili z pustymi szklankami i oświadczył, że ten pan (Mazur) ciężko go obraził, wobec czego ja (!) mam doprowadzić do PRZEPROSIN (!) (Odmówiłam, bowiem takie sprawy nie należą chyba do bufetowej lokalu kat. III). Wyszedł. Po ok. 10 minutach wrócił, przynosząc w butelkach po wódce, ze stemplami „Malinowa" owe próbki mojej uczciwości i... kazał wylać. Oświadczył, że nic przeciwko mnie nie ma. Miłe, co?**

**Aby się nie rozpisywać zbytnio — nie mam przecież tego talentu co p. Brycht — proponuję Panu zbadanie sprawy na miejscu.**

**Proszę mi wierzyć, że, niestety, nie możemy sobie pozwolić na to, zwłaszcza w sytuacji panującej w tym lokalu, aby na skutek obcesowego, hałaśliwego i nietaktownego zachowania się przygodnego klienta, wdrażać go w tajniki produkcji i handlu gastronomiczno-kawiarnianego labiryntu. Tym bardziej, że prezentacja w rodzaju „Brycht jestem", dalibóg, nic nam nie mówi.**

**Piszę to dlatego, że ta część artykułu dotknęła mnie osobiście, podrywa zaufanie do mnie moich zwierzchników i klientów lokalu.**

**Pragnęłabym, aby Pan Redaktor — nieznany nam przecież osobiście — zechciał uprzejmie przy okazji incognito odwiedzić nasz lokal.**

**Ponieważ moje koleżanki z innej zmiany mają również coś do powiedzenia w sprawie zachowania się p. Brychta w czasie ich pracy, może Pan lub ktoś z Pańskich odpowiedzialnych współpracowników zechce z nimi porozmawiać. Myślę, że to ważne, kto kogo grzeczności uczy.**

**JADWIGA BERNARD**
**bufetowa z kawiarni „Teinka"**

**DO REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA „ODGŁOSY"**

**W związku z artykułem zamieszczonym w Waszym piśmie z dnia 19. VIII. br. pt. „...potem kino, kawiarnia i spacer", należałoby się domyślać z przedstawionego opisu, że w artykule wspomnianym ob. Brycht miał pod nazwą „rozłożysta blond Wenus" moją osobę. Wynika to z przebiegu mojej pracy zawodowej kolejno w kawiarni „Agawa", a obecnie „Egzotyczna".**

**W zupełności rozumiem znaczenie krytyki prasowej — ale nie widzę żadnych podstaw do ubliżania mojej godności osobistej i ludzi w ogóle co uczynił ob. Brycht w swoim artykule.**

**Ażeby nie być gołosłowną, zawiadamiam ob. Redaktora, że zawarte w powyższym artykule twierdzenia co do mojej osoby nie są zgodne z prawdą. Na dowód powyższego wyjaśniam co następuje:**

**1) Ob. Brycht twierdzi, że w książce życzeń i skarg znajduje się wiele skarg na moją osobę. Twierdzenie to nie odpowiada prawdzie, gdyż książka nie zawiera ani jednej skargi. (Na dowód powyższego przedkładam ob. Redaktorowi wspomnianą książkę).**

**2) Ob. Brycht podaje, że czekał na obsługę pół godziny w dniu 22. VII. br. i znów za czekanie to oskarża moją osobę. W dniu tym w ogóle nie pracowałam. Potwierdzenie tego znajduje się w liście obecności ŁZG Kawiarnie.**

**3) Ob. Brycht zarzuca mi, że w czasie mej pracy w kawiarni „Agawa" miał ze mną jakąś scysję. Takowy fakt nie miał miejsca. Natomiast śmiem twierdzić, że znam swój zawód od lat 10, jak również nazwy win bez uciekania się do ich nazw według kolorów.**

**Analizując przyczyny szkalowania mej osoby, doszłam do wniosku, że spowodowane są one osobistymi urazami ob. Brychta do mojej osoby. Na dowód powyższego zawiadamiam ob. Redaktora, że w m-cu czerwcu w kawiarni „Egzotyczna" znalazł się ob. Brycht w gronie około 10-osobowej grupy ludzi młodych o podejrzanym wyglądzie. Na moje pytanie czego sobie życzą — odpowiedziano mi, że 3 wody sodowe i 11 szklanek. Z praktyki wiem, że takie zamówienia kończą się na piciu własnego alkoholu. Po chwili obserwacji stwierdziłam, że część tego towarzystwa posiada wino w kieszeniach. Zwróciłam uwagę, że picie alkoholu własnego w lokalu jest zabronione. Towarzystwo to było oburzone moimi podejrzeniami. W związku z tym odkryłam jednemu z panów tego towarzystwa marynarkę i okazało się, że wino miał.**

**Ob. Brycht po takim postawieniu sprawy poprosił o książkę życzeń, oglądał ją i nie dokonał wpisu (bo i co miał wpisać?).**

**Z powyższego wynika, że ob. Brycht dokonał zapowiedzianej zemsty. Jak już stwierdziłam, zdaję sobie sprawę, że krytyka prasowa może i powinna być ostra. Powinna ona też spełniać pewne zadania wychowawcze. Jednak pewna część tego artykułu jest już tylko niewybrednym paszkwilem na moją osobę, wykorzystaniem osobistych i nieuzasadnionych urazy.**

**Reasumując powyższe proszę ob. Redaktora o podanie moich wyjaśnień do publicznej wiadomości, abym mogła uzyskać chociażby w pewnym stopniu satysfakcję ze względów zawodowych, społecznych i towarzyskich.**

**ZOFIA DMOCH**
**pracownica kawiarni „Egzotyczna"**

# DFP-62

Podobnie jak w minionym roku, choć pod nieco zmienionym, chyba słusznie tytułem — Dni Filmu Polskiego — mamy we wrześnu prawdziwy maraton filmów polskich fabularnych oraz krótkometrażowych. Odbędzie się więc sześć premier nowych filmów pełnometrażowych. Owo nasilenie wydaje się nieco dyskusyjne tak z punktu widzenia publiczności, która wszystkich filmów w tak krótkim okresie nie zdąży chyba obejrzeć, jak i ze względu na krytyków filmowych, recenzentów, którym też trudno będzie w porę cokolwiek sensownego napisać. Dojdzie do tego jeszcze cały wachlarz filmów dokumentalnych, oświatowych oraz animowanych. Ale cóż na to poradzić? U nas wiele rzeczy i spraw począwszy od tramwajów i autobusów, jeździ lub chodzi stadami. Odsuńmy jednak owe analogie na margines tej, w gruncie rzeczy bardzo pożytecznej imprezy i zajmijmy się lepiej filmami, których premiery odbywają się we wrześniu. Musimy, niestety, ograniczyć się tylko do krótkich informacji na temat poszczególnych premier. Mamy szczerą ambicję poświęcić każdemu z nowych polskich filmów osobną recenzję krytyczną. Obok zamieszczamy opinię na temat debiutu fabularnego reż. Stanisława Jędryki „DOM BEZ OKIEN", który reprezentował polską kinematografię na tegorocznym festiwalu w Cannes.

Inną premierą jest nowelowy film „SPÓŹNIENI PRZECHODNIE" według opowiadań Stanisława Dygata z tomu „Pola Elizejskie". Scenariusz napisał również Dygat, a ogólny nadzór nad realizacją filmu sprawował reż. Jan Rybkowski. Nowele „Spóźnionych przechodniów" zrealizowali w zespole „Rytm" znani aktorzy: Gustaw Holoubek — „Czas przybliża, czas oddala", Andrzej Łapicki — „Krąg istnienia", Adam Hanuszkiewicz — „Paryż 1945", Jerzy Antczak — „Stary profesor". Ostatnią nowelę w tym filmie reżyserował sam Jan Rybkowski. Nowela ta nosi tytuł „Nauczycielka", a scenariusz Dygata jest dziełem oryginalnym a nie jak w poprzednich nowelach adaptacją opowiadania. W „Spóźnionych przechodniach" grają: Kalina Jędrusik, Maria Wachowiak, Gustaw Holoubek, Wieńczysław Gliński, Beata Tyszkiewicz, Bogumił Kobiela, Irena Netto, Lidia Korsakówna, Adam Hanuszkiewicz, Kazimierz Opaliński, Michał Pawlicki, Ignacy Machowski, Alina Janowska, Mieczysław Pawlikowski, Barbara Kwiatkowska, Zbigniew Cybulski i inni.

Komedia „JADĄ GOŚCIE JADĄ" jest w pewnym sensie tryptykiem filmowym zrealizowanym według scenariusza Jana Józefa Szczepańskiego, autora powieści i opowiadań: „Portki Odysa", „Polska jesień". Film zrealizowało trzech reżyserów: Romuald Drobaczyński (w 1958 roku zrealizował z reżyserami Dziedziną i Łęskim bardzo ciekawy film „Miasteczko"), Jan Rutkiewicz i Gerard Zalewski; ci ostatni są debiutantami. W ich filmie grają: Kazimierz Opaliński, Zygmunt Zintel oraz dwóch aktorów amerykańskich polskiego pochodzenia Paul Glass i Mitchell Kowal. Film ten zrealizowano w zespole „Droga".

Zespół „Syrena" przedstawia nowy film Konrada Nałęckiego według scenariusza Wiktora Woroszylskiego „I TY ZOSTANIESZ INDIANINEM", adresowany do dzieci i młodzieży. W głównych rolach ujrzymy: Henryka Borowskiego, Kazimierza Brusikiewicza, Aleksandra Fogla, Irenę Kwiatkowską, Wiesława Michnikowskiego, Andrzeja Szalawskiego i Andrzeja Szczepkowskiego.

Reżyser Janusz Nasfeter, twórca „Małych dramatów" i „Kolorowych pończoch" kontynuuje swoim nowym filmem „MÓJ STARY" tematykę przeżyć dzieci w konflikcie ze światem dorosłych. Główną rolę gra po wieloletniej przerwie Adolf Dymsza. Warto zwrócić uwagę Czytelników na premierę filmu dokumentalnego zrealizowanego w Wytwórni Filmowej Wojska Polskiego „Czołówka" przez znanych dokumentalistów Jerzego Hoffmana i Edwarda Skórzewskiego — „ABY KWITŁO ŻYCIE...". Ich film jest bardzo ciekawym dokumentem ukazującym życie współczesnego Wojska Polskiego, jak również wypadków historycznych poprzedzających jego odrodzenie w czasach drugiej wojny światowej.

Te krótkie, lakoniczne informacje, rzecz oczywista, nie mogą wyczerpać wszystkich spraw związanych z tegorocznymi Dniami Filmu Polskiego. Bardzo prosimy naszych Czytelników o łaskawe podzielenie się z nami swoimi uwagami i spostrzeżeniami na temat organizacji i wartości artystycznych zaprezentowanych filmów. Oczekujemy Waszych listów.

A. N.

MARIA KORNATOWSKA

# „DOM BEZ OKIEN"

Debiuty można oceniać dwojako, albo pobłażliwie, mając na uwadze niedoświadczenie autora albo też surowo, mając na uwadze dobro autora.

Doświadczenie dowodzi, iż nic tak nie psuje młodego twórcy jak pobłażliwość, która pozwala mu bez końca powtarzać stare błędy. W pewnym momencie cierpliwość „pobłażliwych" wyczerpuje się i wtedy wszyscy: hurra! ruszają do ataku na Bogu ducha winnego autora. W ten sposób gładko i czysto „załatwia" się człowieka, niszczy artystę. Bądźmy zatem surowi. Zasadniczą cechą filmu „Dom bez okien" Stanisława Jędryka jest brak oryginalności zarówno w koncepcji ogólnej jak i w szczególnych rozwiązaniach. Młody autor, a co gorzej stary (doświadczeniem!) scenarzysta Ścibor-Rylski pokusili się o temat bardzo niebezpieczny. Nie ma bardziej ogrango i to przez największych wirtuozów ekranu niż środowisko cyrkowe i cyrk jako taki. Bo można wymienić jednym tchem i Duponta, i Bergmana, i Felliniego, i Recka, nie mówiąc już o innych. A wpisywanie w to wszystko głębszej problematyki filozoficzno-etycznej trąci naprawdę banałem.

Drugą cechą tego filmu jest jego nieporadność dramaturgiczna. Scenarzyście i reżyserowi chodziło zapewne o wydobycie tzw. nowoczesnej dramaturgii filmowej czyli dramaturgii „nie dziania się". Niestety, nic z tego nie wyszło, albowiem nie stało surowca psychologicznego i emocjonalnego, trzymającego widza w napięciu na tego typu filmach jak choćby „Przygoda" Antonioniego. Ostatecznie coś dziać się musi. A cały dowcip polega na tym, że w tzw. nowych filmach coś się dzieje pod powłoką zewnętrznej warstwy wydarzeń. A w „Domu bez okien" rzeczywiście nic się nie dzieje albowiem cały układ dramaturgiczny jest tylko ilustracją pewnej z góry założonej tezy. Film jest poza tym piekielnie nudny, gdyż naszpikowano go niesamowitymi dłużyznami (np. ciągnące się w nieskończoność „numery" cyrkowe). Pod koniec film się już zupełnie rozpada, obdarzony przez hojnych autorów co najmniej piecioma zakończeniami, z których każde byłoby równie dobre. Nie wiadomo tylko, gdzie kończą się tu „zasługi" scenarzysty, a gdzie reżysera.

Trzecią cechą „Domu bez okien" jest jego dosłowność w potraktowaniu bardzo istotnego nieco ibsenowskiego („Dzika kaczka") problemu. Na początku założono sobie pewną tezę, a potem zrobiono schemacik oparty na zasadzie absolutnej ilustratywności. Autorzy przyjęli, że statystyczne mnożenie przypadków nada większą siłę przekonywania ich tezie. Toteż namnożyli je. Całość przyprawili melodramatycznym sosem (wątki „romansowe") bo jak świat światem atmosfera cyrku sprzyja różnym melodramatom. Oczywiście, oprócz ogólniejszych problemów etyczno-filozoficznych są w tym filmie rzucone sprawy z tzw. życia artystów, stosunku do sztuki itd. itd. Ale rzecz cała jest jednowymiarowa, dosłowna, jednoznaczna bowiem ilustratywność niszczy wszelką wieloznaczność.

„Dom bez okien" został zrobiony poprawnie ale szalenie banalnie, jakoś na miarę banału scenariusza. I atmosfery brak, i zdjęcia nieciekawe, i żadnego stylu w tym wszystkim nie uświadczysz. Aktorzy grają nieźle, ale grają sobie a nie filmowi na pożytek. Znakomita jest Szaflarska, biedna Czyżewska, bo dano jej rolę nie do pozazdroszczenia. Najsmutniejszy był moment kiedy obu Bogu ducha winnym aktorkom kazano się ciągnąć za włosy i bić w stajni. To głupia i niesmaczna scena budząca niezamierzone zapewne efekty komiczne. Poważny nietakt wobec aktorek i wobec widza.

Tak się jednak stać musiało, gdy kierownik literacki zespołu „Rytm" — Ścibor-Rylski — sam sobie proponuje napisane przez siebie scenariusze, a zespół „Rytm" bez żadnej żenady realizuje scenariusze swego kierownika literackiego. Oczywiście Stanisław Jędryka nie musiał się podejmować realizacji akurat tego właśnie „dzieła". Ale, mój Boże, skoro chce się debiutować w filmie nie można chyba zbyt grymasić... A swoją drogą warto się zastanowić, czy rzeczywiście Ścibor-Rylski nie powinien proponować swoich scenariuszy innym zespołom, a nie przepychać je we własnym, co powoduje opłakane skutki. Nie bez winy jest zapewne w tej sprawie i kierownik artystyczny zespołu, reż. Rybkowski. Wydaje się, że opinia społeczna ma prawo dopominać się od niego pewnych wyjaśnień.

*Fotos z filmu „Spóźnieni przechodnie".*

# W KINIE STUDYJNYM

We wrześniu Kino Studyjne w Łodzi włącza się do tradycyjnej już imprezy „Dni Filmu Polskiego" i w dniach od 1 do 13 września organizuje przegląd wszystkich długometrażowych filmów reżysera Antoniego Bohdziewicza, znanego na łódzkim gruncie profesora PWSTiF.

Na program złożą się następujące tytuły:

1—3. 9. „Za wami pójdą inni".
4—6. 9. „Zemsta".
7—9. 9. „Szkice węglem".
10—12. 9. „Kalosze szczęścia".
13—15. 9. „Rzeczywistość".

Na zakończenie przeglądu, dn. 15. 9. o godz. 19.00 odbędzie się spotkanie dyskusyjne z autorem wymienionych filmów, prof. Bohdziewiczem, na które uprzejmie zapraszamy zainteresowanych, a pośród nich i przedstawicieli łódzkiej prasy.

W ramach przeglądu w „Gdyni" zobaczymy również kilka filmów krótkometrażowych zrealizowanych przez prof. Bohdziewicza, m. in. znany „Ostatni Parteitag w Norymberdze".

We wrześniu Kino Studyjne rozpoczyna bardzo interesującą akcję stałego prezentowania łódzkiej publiczności długo- i średniometrażowych filmów dokumentalnych i oświatowych, które są kierowane bieżąco do wyświetlania, lecz na ekranach ukazują się niezwykle rzadko i sporadycznie. Łódzcy kinomani nie byli nawet w stanie zorientować się, jakie interesujące pozycje umykają ich uwadze. W ramach tej akcji, na wszystkich seansach w niedzielę, dn. 16. 9. wyświetlany będzie ciekawy film przyrodniczy słynnego reżysera radzieckiego Zguridiego „Przygody w dżungli".

Pozostałe dni miesiąca września wypełnią trzy pozycje z Wytwórni Disneya. Pokazywane w krótkich fragmentach w Telewizji w ramach cyklu „Disneyland" rysunkowe filmy: „Pinokio" (17—20. 9.), „Zakochany kundel" (21—25. 9.) „Śpiąca królewna (26—30. 9.) — dwa ostatnie panoramiczne — wzbudzą niewątpliwie wielkie zainteresowanie nie tylko u młodzieży.

MIECZYSŁAW WOŹNIAKOWSKI

# Pierwszy rok wielkiej reformy (II)

# Dlaczego jest dobrze a dlaczego źle?

Kapitalnym zagadnieniem dla szkoły średniej zarówno ogólnokształcącej jak i zawodowej jest poprawa, albo lepiej — unowocześnienie metod pracy zarówno dydaktycznej, jak i wychowawczej.

Inaczej nie ma mowy o jakimś zdecydowanym podniesieniu wyników nauczania, o likwidacji bardzo u nas niepokojącej drugoroczności. Musimy w końcu odejść od starego, odwiecznego chyba schematu, w którym upraszczając sprawę nauczyciel jest świętą instytucją, w ten czy inny sposób **podającą** wiedzę. Potem — jak w klasycznym schemacie — następuje proces **sprawdzania** przez nauczyciela, o ile uczeń tę wiedzę sobie przyswoił, co się wyraża w **ocenie**.

Tymczasem rozwój wszystkich kierunków nauki, postęp techniczny jest obecnie tak wielki i z dnia na dzień szybszy, że przedłużanie okresu nauki o rok, dwa czy nawet trzy niczego tu nie rozwiąże. Szkoła powinna więc starać się w tych warunkach, by uczeń poznał pewne podstawowe elementy wiedzy, a równocześnie musi cały swój wysiłek skoncentrować w kierunku rozwijania w swoich wychowankach inicjatywy, samodzielności, umiejętności posługiwania się książką jako źródłem wiedzy, dociekliwości w odkrywaniu źródeł, i przyczyn zjawisk zachodzących w świecie, który nas otacza.

Tak więc, chodzi dziś już nie tylko o przekazanie wiedzy, lecz także o kształtowanie postawy czynnego uczestnictwa w życiu.

Te uwagi dotyczą szkół wszystkich typów, ale przede wszystkim — **szkoły podstawowej.**

### ILU REZYGNUJE?

Ta szkoła ma dać przecież jakąś „podstawę", stanowi punkt startu wszystkich obywateli naszej ojczyzny w życie. Wszystkich: przyszłych techników i urzędników, naukowców i artystów. Wiadomość i umiejętność pracy umysłowej mogą im ułatwić, albo utrudnić przejście do szkoły średniej. Jeżeli wyjdą z niej z głodem wiedzy, z pragnieniem dalszego poznawania świata — będą stanowić aktywny i twórczy społecznie element bez względu na to, w jakim środowisku żyć i pracować im wypadnie.

Niech mi Czytelnicy darują maleńką dygresję. Gdzieś w latach 1933, a może 1934, jako młody nauczyciel uczestniczyłem w Kongresie Pedagogicznym ZNP. Pamiętam, że m. in. przemawiał — prof. A. B. Dobrowolski. Ten czcigodny uczony-podróżnik roztoczył przed nami urzekającą wizję szkoły podstawowej 10-letniej (dyskutowało się wtedy tzw. jędrzejowiczowski projekt reformy szkolnej). Miała to być szkoła ogólnokształcąca, obowiązkowa dla wszystkich obywateli, na miejsce istniejącej szkoły powszechnej i elitarnego gimnazjum.

— Czy możecie sobie, Koledzy, wyobrazić by córeczka np. pana mecenasa czy pana doktora nie zdała matury, choćby miała wyraźne oznaki umysłowej tępoty? Będzie się ją w korepetytorów, jak w watę obwijać, będzie się ją przepychać z klasy do klasy, a jak trzeba, to i szkoły zmieniać, a maturę mieć musi! A nam usiłują, niektórzy wmówić, że większość dzieci robotników czy chłopów nie ma potrzebnych „predyspozycji umysłowych"! — mówił.

Nie wiem, o ile wiernie oddałem ten fragment przemówienia prof. Dobrowolskiego, ale słowa jego zapadły mi w duszę głęboko i do dziś jestem przekonany, że poziom szkoły podstawowej, jej atmosfera wychowawcza w ogromnym stopniu rzutują na poziom kultury całego społeczeństwa.

Jak się przedstawia sytuacja na tym odcinku u nas w Łodzi?

Na 12.761 absolwentów szkół podstawowych w roku 1961/62 9.100 ukończyło ją po 7 latach tzn. nie powtarzając żadnej klasy, wynosi to ok. 72%, a zatem 28% ukończyło tę szkołę po 8, 9, 10 i więcej latach. Przed siedmiu laty, a więc w roku 1955 w kl. I naszych szkół podstawowych było 14.137 uczniów. Zakładając, że 25%, a więc ok. 3.500 dzieci z tegoż 1955 rocznika ukończy szkołę za rok, dwa lub później, odjąwszy 2% dzieci, które odejdą do szkół specjalnych otrzymamy liczbę ok. 1.280 dzieci, które ze szkoły odpadły nie ukończywszy jej. I podobnie dzieje się co roku! O te właśnie dzieci trzeba rozpocząć ostrą walkę. Bezpardonową. Prokuratura, Milicja, Sąd dla Nieletnich na pewno mogą potwierdzić, że przytłaczająca większość przestępców z nich się wywodzi. Z repetentów, dzieci, którym się nie powiodło, które są „zakałą" klasy, szkoły, które zostają na drugi rok w jednej klasie, potem w drugiej, trzeciej... Mówimy, że są „przerośnięte". One również czują się w środowisku szkolnym zawadą, zaczynają szukać pokrewnych dusz poza szkołą; na ulicy, podwórku, w kawiarni lub restauracji. Tworzą się młodociane „gangi". My zaś mówimy: przestępczość nieletnich rośnie. A nawet jeśli chłopak czy dziewczyna ukończywszy lat 16 dobrnie do klasy V lub VI i pójdzie do pracy, szkoły nie ukończywszy, wiemy, jak trudno, jak opornie idzie to uzupełnianie wykształcenia poza szkołą dzienną. Na ok. 15.000 robotników do lat 25 bez ukończonej szkoły podstawowej, w szkołach dokształcających dla dorosłych uczy się tylko **3.116.** I to jak się uczy! Największą bolączką tych szkół jest zła frekwencja i duży odsiew. Rozumiemy: człowiek „odwykł" od szkoły, przychodzą różne obowiązki, a i zakład pracy, wbrew zarządzeniom, nie zawsze idzie na rękę... Co tu dużo mówić! Bez tej szkoły o zdobyciu kwalifikacji, o technikum dla pracujących czy o liceum nie ma co marzyć. I ot, mamy młodego człowieka, który **zrezygnował.** Zrezygnował w kraju dającym mu takie możliwości! Dlatego wyniki egzaminów wstępnych do szkół średnich i sprawność bezwzględna — to będą, to muszą być dwa zasadnicze i uchwytne probierze wartości szkoły podstawowej.

### JAK IM POMAGAMY?

Co robią władze, ażeby szkołom pomóc w osiąganiu **lepszych wyników?** Z roku na rok poprawiają się ich warunki lokalowe, wyposażenie w pracownie, w pomoce naukowe (w ostatnim roku powstały w naszych szkołach podst. **394 nowe pracownie!**). Dążyć będziemy także do jak najszybszego wyeliminowania dzieci upośledzonych umysłowo, niedowidzących i głuchych, które wymagają opieki szkół specjalnych. Jeżeli bowiem pozostają w szkole normalnej, wpływają hamująco na wyniki osiągane przez całą klasę, a w nich samych pogłębia się proces upośledzenia.

W ostatnim roku szkolnym nasze Kuratorium zorganizowało nową szkołę specjalną i dwa punkty filialne dla dzieci upośledzonych umysłowo (ogółem mamy w Łodzi 19 szkół specjalnych z 2.829 dziećmi, w tym jedną dla słabowidzących i jedną dla głuchych). Zapisy dzieci do kl. I z miesiąca maja chcemy cofnąć do stycznia i połączyć je z badaniem lekarskim i psychologicznym. Udany eksperyment szkoły nr 101 na Bałutach potwierdził bowiem, że dzieci, zwłaszcza z „trudnych" środowisk (alkoholików, złodziei, prostytutek) w wielu wypadkach zdradzające objawy cofnięcia w rozwoju umysłowym — zatrzymane w szkole pod opieką dobrego pedagoga i wychowawcy — w ciągu pół roku przed rozpoczęciem nauki wyrównują braki i od września mogą pójść do szkoły na prawach jako tako równego startu.

Potrzeba zwiększenia liczby szkół specjalnych w naszym mieście jest niewątpliwa. Jesz cze w bieżącej pięciolatce wybuduje się 2 dalsze szkoły specjalne dla 320 dzieci. Na razie inspektoraty przystępują do organizowania klas specjalnych przy szkołach podstawowych. Najlepsze osiągnięcia notuje dzielnica Widzew, gdzie w zasadzie wszystkie dzieci upośledzone umysłowo zostały umieszczone w szkołach względnie w klasach specjalnych.

Dzieci tzw. przerośnięte, nastręczające nauczycielom poważne trudności w ich pracy wychowawczej staramy się eliminować, łącząc w mniejsze zespoły prowadzone przez doświadczonych pedagogów. W ostatnim roku szkolnym zorganizowaliśmy 89 takich oddziałów dla 2.031 uczniów. W przyszłym roku zostanie oddany nowy zakład wychowawczy dla dzieci moralnie zagrożonych.

### O SZKOLE DECYDUJE NAUCZYCIEL

To zdanie, tak często powtarzane, brzmi jak wytarty slogan, jest przecież — słuszne.

Jakie są nasze kadry nauczycielskie? Jaki jest nauczyciel szkoły podstawowej w szczególności?

Mamy dobrych nauczycieli. Myślę nie tylko o kwalifikacjach formalnych. Procent nauczycieli niekwalifikowanych jest u nas w szkolnictwie podstawowym znikomy, natomiast 40% nauczycieli ma wykształcenie wyżej niż średnie. Nie maluję nauczycielom laurek, wyrażam jedynie swój głęboki szacunek dla ich umiłowania zawodu, rzetelności, poczucia godności i — nienasyconemu pragnieniu pogłębiania własnej wiedzy i własnych umiejętności. Wysoki procent nauczycieli łódzkich uczy się systematycznie dalej: kontynuują zaocznie studia uniwersyteckie (najczęściej bez żadnych zniżek godzin w szkole) coraz częściej słyszy się o otwieraniu przewodów doktorskich.

Doskonale zdają sobie sprawę, że wobec przedłużenia okresu nauki w szkole o jeden rok i przedłużenia granicy obowiązku szkolnego do lat 17 — muszą uzupełnić swoje wiadomości ogólne, a zwłaszcza — w dziedzinie psychologii, filozofii, socjologii, ekonomii, a przede wszystkim w dziedzinie doskonalenia własnego warsztatu pedagogicznego. Wręcz zdumiewający jest udział masowy nauczycieli w różnego rodzaju kursach wakacyjnych i śródrocznych, oni przecież stanowią większość słuchaczy WUML. Rozumieją, że nie liceum, ani studium nauczycielskie stanowić będzie wkrótce podstawowe (i minimalne) wykształcenie nauczyciela i dlatego zapisują się masowo na wieczorowe lub zaoczne Studia Nauczycielskie, a starsi przygotowują się do egzaminów eksternistycznych.

„Jeżeli jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle?" — mógłby ktoś zapytać. Skąd tyle słyszy się nieraz pretensji, wydziwiania na temat szkoły — jej „nienadążania", konserwatyzmu, słabego wpływu wychowawczego na młodzież? Sądzę, że w tych zarzutach jest bardzo często dużo subiektywizmu — urażona miłość własna rodziców i trochę niezrozumienia. Przecież wskutek pojawienia się potężnych i sugestywnych środków masowego oddziaływania na społeczeństwo jak kino, radio, ostatnio — telewizja i szeregu innych środków upowszechniania kultury — szkoła już nie jest jedyną instytucją kształcącą i wychowującą społeczeństwo. Poza tym jest tu trochę zaniedbania ze strony naszych pedagogicznych środowisk naukowych, które pracują w izolacji od naturalnego warsztatu, jakim dla nich winna być szkoła, są i niedociągnięcia w pracy zakładów kształcenia nauczycieli zarówno, jak i nadzoru pedagogicznego, ośrodków metodycznych i ZNP.

### POCHWAŁA EKSPERYMENTU I NOWATORSTWA

Wszyscyśmy winni po trosze, a rezultatem jest fakt, że nauczyciel bywa aż nadto często pozbawiony pomocy czynników, których zadaniem winno być inspirowanie i wcielanie w życie nowoczesności w praktyce pedagogicznej. Dla nas, obywateli kraju budującego socjalizm, pod tym pojęciem mieści się nie pogoń za wszelkiego rodzaju błyskotliwymi nowinkami pedagogicznymi, ale taka organizacja procesu dydaktyczno-wychowawczego, by wyzwalał on z człowieka żyjącego w kolektywie i dla kolektywu — inicjatywę i samodzielność myślenia.

Przed kilku miesiącami — telewizja nasza w przyjemny sposób zresztą, poświęciła jeden z punktów programu popularyzacji metody francuskiego pedagoga Frenet'a. Aliści w czasie jednej z moich (nielicznych, niestety!) wędrówek po szkołach łódzkich natknąłem się w bałuckiej szkole w kl. I na doświadczoną już nauczycielkę, która pracowała według metody tego Francuza, nie wiedząc o tym zupełnie. Bat lepiej (dla nas), bo pracując w ciężkich warunkach łódzkich. Tempo pracy regulował rodzaj zajęcia i możliwości dziecka. Jedne dzieci pracowały dłużej nad rysunkami, inne — nad rachunkami lub czytaniem. Nauczycielka nie zza „katedry", ale chodząc między stolikami dzieci służyła im dyskretną pomocą lub zachętą, kiedy zauważyła zmęczenie, pracę przerywała, dzieci podejmowały wtedy jakąś zabawę, śpiewały piosenki, nie krępowane żadnymi „dzwonkami".

Dzieci wykonały wszystkie prace w klasie i w klasie pozostawiały, każde miało swój „kącik". Żadnego „zadawania" do domu. Rezultat — stuprocentowa promocja. Tej nauczycielki nikt nie „odkrył", jej metod pracy nie omawia się, nie dyskutuje, nie popularyzuje. Jestem osobiście przekonany, że świetnych nauczycieli mogących się podjąć prowadzenia eksperymentu pedagogicznego jest wielu. Należy tylko ich do tego zachęcić, w eksperymentowaniu pomóc i po stwierdzeniu skuteczności eksperymentu — popularyzować. Wydaje mi się, że sprawa poszukiwania właściwych sposobów nauczania języków obcych, poszukiwania nowych, efektywniejszych metod, wcześniejszego (już od pierwszych klas szkoły podstawowej) rozpoczynania nauki, organizowania szkół z obcym językiem nauczania wielu przedmiotów warta jest podjęcia.

### SPOŁECZEŃSTWO A SZKOŁA

Inną sprawą węzłową naszego szkolnictwa jest rozszerzenie funkcji opiekuńczo-wychowawczej szkoły. Pisałem na ten temat już w jednym z poprzednich numerów „Odgłosów" analizując akcję wczasów letnich dzieci i młodzieży. W naszym mieście, gdzie notujemy najwyższy w kraju procent zatrudnienia kobiet sprawa zapewnienia dziecku opieki poza godzinami nauki szkolnej jest zagadnieniem kapitalnym. Jak przedstawia się sytuacja w tej chwili? Ogromna większość (133 szkoły podstawowe) prowadzi świetlice z dożywianiem. Korzysta z nich ponad 12 i pół tysiąca dzieci. Czy to jest dużo, czy mało? Czy to wystarczy? Stanowczo za mało, gdyż w ostatecznym rozrachunku — niewiele więcej niż co dziesiąte dziecko może korzystać ze świetlicy.

Stwierdzam więc smutny fakt — kilkadziesiąt tysięcy dzieci łódzkich przez kilka godzin dziennie pozbawionych jest opieki. Jakież tu wyjście z sytuacji? Władze szkolne przystąpiły do organizowania w niektórych szkołach podstawowych (a nawet średnich) półinternatów czynnych po 8 i więcej godzin dziennie, rozwijają się różne formy zajęć pozalekcyjnych: koła przedmiotowe, techniczne, artystyczne, sportowe, krajoznawcze. Chcemy rozszerzyć oddziaływanie dzielnicowych domów kultury, a zwłaszcza Młodzieżowego Domu Kultury im. J. Tuwima. Szkoły muszą otoczyć jak najserdeczniejszą opieką zarówno swoje drużyny harcerskie, jak i organizacje ZMS. Z uznaniem odnosimy się do akcji drużyn podwórkowych ZHP, jak i do pracy terenowych kół TPD. Przystąpiliśmy do systematycznego doszkalania pracowników pedagogicznych, instruktorów zajęć pozalekcyjnych pragnąc podnieść na wyższy poziom prace świetlic i tzw. kół zainteresowań. W ścisłym kontakcie z Łódzkim Komitetem Kultury Fizycznej chcemy przestawić pracę Szkolnego Związku Sportowego i szkolnych kół i klubów sportowych na pracę masową. Chcemy, by ambicją każdej szkoły stało się zdobycie przez jej wychowanków nie tyle indywidualnych rekordów, ale jak najwyższego procentu odznak pływackich, sportowych, strzeleckich, turystycznych...

Oczywista, ambicje szkoły w kierunku rozszerzania działalności wychowawczej poza godzinami lekcyjnymi, są mocno ograniczone zarówno brakami lokalowymi i kadrowymi, jak i poważnymi zadaniami wynikającymi z realizowanej obecnie reformy.

Cudów nie ma — szkoła pozostanie w pierwszym rzędzie instytucją, rejestrującą potrzeby w zakresie opieki nad dzieckiem i młodzieżą, instytucją organizującą społeczny w tej mierze wysiłek. Właśnie — **społeczny** wysiłek. Nie tylko organizacje polityczne, nie tylko instytucje jak najbardziej sprawą wychowania zainteresowane jak TPD, TSS, TWP Liga Kobiet i in., ale szerokie kręgi społeczeństwa łódzkiego przez terenowe Komitety Frontu Jedności Narodu, przez komitety blokowe winny na co dzień interesować się sprawami młodego pokolenia, służyć szkole pomocą i wzmacniać jej autorytet.

Mówimy na progu nowego roku szkolnego otwarcie: nie spodziewajcie się, że szkoła załatwi wszystko, co wiąże się z wychowaniem pokoleń. Nie załatwi sama bez szerokiej pomocy społeczeństwa.


PZU przypomina

dla ubezpieczenia SIEBIE - MIESZKANIA

telefonujcie 455-10 wew. 40

Łódź, al. Kościuszki 57, pokój 2

4505/k


## informacje i zaczepki

Znają chyba wszyscy popularny radiowy „Program z dywanikiem". Realizował go początkowo zespół warszawsko-łódzki. Potem nazwiska artystów i autorów z Łodzi były coraz rzadsze, aż w końcu... Ostatni program pt. „Mój klient" zrealizowała wyłącznie Warszawa bez współudziału kolegów z redakcji estradowej ŁRPR. Tak to prowincja została raz jeszcze „wyrolowana" przez stolicę.

●

Jeden tylko powiat kutnowski legitymuje się liczbą aż 185 kółek rolniczych, w których posiadaniu znajduje się 150 pełnych kompletów maszynowo-traktorowych. Kutnowskie kółka zarabiają łącznie około 7 milionów złotych rocznie.

●

Paradoks. Jak twierdzą zorientowani, w Polskim Związku Żeglarskim panuje opinia, że najlepsi instruktorzy żeglarstwa to właśnie... łodzianie. Mieszkańcy miasta, w którym woda jest wyłącznie w kranach. I to też nie zawsze.

●

W końcu sierpnia minęła trzydziesta rocznica spotkania na Młynku delegatów łódzkich fabryk z ówczesnym sekretarzem generalnym lewicy związkowej i członkiem KC KPP, tow. Ludwikiem. Pod tym pseudonimem kryło się nazwisko Władysława Gomułki. Telewizja łódzka nadała w związku z ową rocznicą interesujący program publicystyczny poświęcony wydarzeniom tam tych lat.

●

Po powrocie z urlopu Teatr im. St. Jaracza rozpoczął pracę dnia 1 września wznowieniem komedii Jana Drdy „Igraszki z diabłem". Sztuka ta oraz grane na przemian „Mąż i żona" Fredry, „Krakowiacy i Górale", jak również gorąco witany przez młodzież spektakl „W pustyni i puszczy" Henryka Sienkiewicza wypełnią wrzesień i pierwsze dni października.

Na otwarcie sezonu 1962 i 63 Teatr przygotowuje „Karierę Artura Ui" Bertolta Brechta, której premiera przewidziana jest około połowy października. Pośmiertne dzieło Brechta, jedno z najświetniejszych w jego dorobku, ukaże się w inscenizacji i reżyserii Feliksa Żukowskiego i Barbary Jaklicz, w opracowaniu scenograficznym Ewy Soboltowej. Realizacja ta będzie całkowicie odmienna od pokazanych dotąd w Polsce — warszawskiej (Teatr Współczesny) i berlińskiej (Berliner Ensemble).

Równocześnie Teatr przystępuje do pracy nad „Wierną rzeką" Stefana Żeromskiego, która w nowej adaptacji Władysława Orłowskiego ukaże się na scenie w styczniu przyszłego roku inicjując obchody przypadającej w tym miesiącu setnej rocznicy Powstania 1863 r. W znacznej mierze związane z tą rocznicą będzie również „Wyzwolenie" St. Wyspiańskiego, które Teatr zamierza wystawić w drugiej połowie sezonu.

Z najbliższych pozycji repertuarowych Teatru im. Jaracza warto jeszcze wymienić „Antoniusza i Kleopatrę" Szekspira oraz jedną z nowych sztuk Tennessee Williamsa „Orfeusz zstępujący do Hadesu".

●

„Przekrój" narzeka na łódzkich harcerzy. Podobno 100-osobowa orkiestra dęta ZHP-Łódź urządziła w swym obozie nad jeziorem Serwy koncerty zmuszające wczasowiczów do ucieczki. Nasi młodzi muzycy grali ponoć z dużym samozaparciem i zbyt małymi przerwami. „Przekrój" nie ma nawet pretensji o to, że fałszowali, chodzi tylko o to, że zbyt głośno. Nie dziwimy się. Jeśli ktoś pojechał na Mazury po spokój, to istotnie takie bezustanne orkiestrowe „tutti" mogło go wyprowadzić „z nerw". A umiar to dobra rzecz. Nawet dla harcerzy.

J. W.

# 18 tysięcy dramatów

Ćwiczenia terapeutyczne stosowane w celu usprawnienia niedowładnych kończyn górnych — przy jednoczesnym zwróceniu uwagi na ćwiczenia ogólnorozwojowe.

Nawet najcięższe postacie gruźlicy są dziś uleczalne. Uleczalność meningitów jest jednym z największych osiągnięć współczesnej medycyny. Postępy w tej dziedzinie łączą się z postępami w chemioterapii gruźlicy i postępami w terapii w ogóle. W chemioterapii gruźlicy z dużym powodzeniem od roku 1958 stosuje się skojarzenie trzech leków: INH (hydrazyd kwasu izonikotynowego), SM (streptomycyna) i PAS (kwas paraaminosalicylowy). To skojarzenie ma niemal niewątpliwe działanie prątkobójcze.

Gruźlicze zapalenie opon i mózgu dość często współistnieje z jedną z najcięższych postaci gruźlicy, tzw. prosówką, która jest krwiopochodna. *Klinicznie stwierdzona gruźlica prosowkowa płuc w przeszło połowie przypadków łączy się z towarzyszącym procesem oponowym, ale też gruźlicze zapalenie opon i mózgu może powstawać — nawet w większości przypadków — bez współistnienia z gruźlicą prosówkową.*

Teksty podane w ramkach kursywą pochodzą z najnowszego dzieła zbiorowego pt. „Gruźlica wieku dziecięcego", wydanego pod redakcją prof. dr Franciszka Groera i doc. dr Heleny Krukowskiej. W „Rysie historycznym" prof. dr Groer podnosi m.in. duże zasługi w zakresie fizjatrii dziecięcej, położona przez łódzką uczoną i działaczkę prof. dr A. Margolisową.

Dziecięcy Ośrodek Sanatoryjno-Prewentoryjny w Rabce dysponuje 1300 łóżkami dla dzieci dotkniętych w różnym stopniu gruźlicą. Dyrektorem tego ośrodka jest zasłużony fizjatra dr med. Jan Rudnik, jego zastępcą do spraw leczniczych lek. Bogdan Zalewski. Opisanym sanatorium-rehabilitorium dla dzieci pomeningitowych ordynuje lek. Maria Plesińska. Wyżej wymienionym autor składa podziękowanie za umożliwienie napisania reportażu, zaś lek. Elżbiecie Rutkowskiej — za inspirację i pomoc.

Dalszy ciąg ze str. 1

nem mała, bezwładna, człekokształtna kłoda. Żona dotyka jego czaszki, powiek. Dziecko nie reaguje. „Wodogłowie" — słyszę. Skazane na życie — odpowiadam. „Tak".

„A pokaż cioci, gdzie masz nos" — widzę dłoń żony głaskającą czarnookiego bobaska. Bobasek uśmiecha się, jakby rozumiał, o co chodzi, ale nie pokazuje nosa. „Zmiany psychiczne. Debilizm" — słyszę.

Sąsiad bobaska siedzi, ale nie słyszy, że się do niego mówi. Głuchota całkowita i ślepota częściowa.

W rogu sali dziecko huśta się, jak gdyby imitując kołysanie na rękach matki. „Na dodatek choroba hospitalizmu, skutek przewlekłego przebywania w szpitalu" — objaśniają.

Idźmy już stąd. To ponad moje siły patrzeć dłużej. Schodząc na dół, do gabinetów zabiegowych dręczę się. „Czy starożytni Spartanie, zrzucając potworki ze skały w przepaść nie byli bardziej ludzcy niż my, skazując te istoty na dożywotnią wegetację? A eutanazja, nie byłabyż w przypadkach absolutnie jasnych i zdeterminowanych aktem większego humanitaryzmu, niż to leczenie?..."

„Właściwie nigdy nie mamy stuprocentowej pewności, czy te nawet najcięższe porażenia nie cofną się pod wpływem długotrwałego leczenia i rehabilitacji" — powiedzą mi później lekarze. „Nie mamy prawa wątpić, bo to by przekreślało sens naszego powołania i zawodu."

III

Meningitis — przypominam sobie wstępne objaśnienia — jest jedną z najcięższych chorób, bo toczy się u podstawy mózgu. To znaczy, że proces chorobowy lokalizuje się w miejscach centralnego układu, atakując trakty nerwowe wszystkich ośrodków życia: oddechowy, naczyniowy i sercowy. Zagrożone są wszystkie drogi zawiadujące czynnościami tych ośrodków. 15 lat temu rozpoznanie tej choroby oznaczało wyrok śmierci. Dzisiaj, w erze środków przeciwprątkowych wczesna diagnoza i terapia umożliwia całkowite lub częściowe wyleczenie. Nie załamujemy rąk nawet w przypadkach uszkodzeń wielogniskowych. Zakładamy bowiem, że mogła ocaleć bodaj jedna wiązka nerwów, którą drogą systematycznych zabiegów uda się pobudzić do funkcjonowania, prowadząc tym samym do regeneracji innych, uszkodzonych. Taką szansę doceniamy tym bardziej, że jak dotąd w 50 procentach przypadków prawidłowym i wczesnym leczeniem udaje się nie dopuścić do wystąpienia niedowładów i dzieci wychodzą z tej strasznej choroby całkowicie zdrowe. W przypadku wystąpienia niedowładów, co jest skutkiem zbyt późnego rozpoczęcia leczenia, udaje nam się drogą wielostronnej rehabilitacji usprawnić prawie 80 proc. dzieci w stopniu zadowalającym".

Dolne piętro. Dwie przyległe do siebie sale. W pierwszej leżanki, na nich dzieci pod opieką pielęgniarek i w rękach specjalistów gimnastyki leczniczej. W drugiej — wielka metalowa wanna. W wannie pławią się dwie dziewczynki. Na ich nóżki od ścian wanny biją strumienie ciepłej wody.

„W wodzie ciało jest lżej i opór bezwładności mniejszy. Ciepło łagodzi wzmożone napięcie mięśni, przykurcze torebek stawowych i aparatów więzadłowych (ścięgna, chrząstki). — Krysiu wyprostuj nóżkę. Powoli. Jeszcze raz. Ćwicz. — Te ćwiczenia poparte potem masażem prowadzą do likwidacji patologicznych ustawień..."

Wanna nazywa się fachowo — „tankiem do hydroterapii". Stanowi dar Polonii amerykańskiej. Wyposażona jest w turbiny z mieszalnikami o różnej sile. Ich ujścia dają się przykładać w dowolnych miejscach. Mogą przegrzewać niedowłady odcinkowo. Tank ma ponadto podnośnik mechaniczny. Właśnie na wózku podwieziono ową dziewczynkę z niedowładem obu nóg. Dźwig sterowany przez rehabilitanta unosi górną płaszczyznę wózka, wkładając chorą do wanny jak na tacy. Na znak lekarza pacjentka usiłuje unieść nogi. Powoli, po kolei, jedną drugą. Czyni to z wielkim trudem, z ledwie widocznym skutkiem, niewiele ponad lustro wody. Pot zrasza jej twarz, rozlaną z powodu zaburzeń hormonalnych. Ale za każdym ruchem twarz tę rozpromienia uśmiech szczęścia. Lekarz z asystą także promienieją.

Po hydroterapii — ćwiczenia bierne. Magister wychowania fizycznego rozciąga rozgrzane przykurcze.

Ćwiczenia bierne po parafinoterapii. To samo po przegrzaniu uszkodzonych kończyn i mięśni okładami parafinowymi.

Zaopatrzenie ortopedyczne. Przeróżne szyny i łuski utrwalają rozluźnienie przykurczy.

Gimnastyka wybiórcza, to znaczy obliczona na rozwijanie określonych mięśni. Stół oporowy, także dar Polonii. Dziecko kładzie się na tym stole. Mechanizm z oparciem sadza je coraz to w innej pozycji, a nogi i ręce ćwiczą skiff. Prawie wioślarstwo.

Pionizacja i nauka chodzenia. Nie wystarczy usprawnić martwe dotąd kończyny. W końcu trzeba na nich stanąć. Inaczej, piękniej wygląda świat z tej pozycji. Mimo, że stoi i chodzi się o kulach. I kule w końcu pójdą precz. Narty na wrotkach tak zmyślnie skonstruowanych, że jadą tylko do przodu, żeby wydłużyć krok, uelastycznić sztywne stopy, nauczyć prawidłowo obciążać niedowładną kończynę.

Gimnastyka korekcyjna. Gdy wreszcie chodzi się o własnych siłach, to i owo w postawie i ruchach trzeba poprawić. Studzienka z korbą do wyciągania wiadra. Ruchomy uchwyt korbki ustawia się pod różnym kątem, żeby rozluźnić jeszcze troszeczkę przykurczoną dłoń.

Gimnastyka ogólnorozwojowa. Chatka, może Puchatka, nie wiem. Prawdziwe drzwi, prawdziwe klamki, prawdziwe okna. Więc wchodzi się do środka, zamyka drzwi na klucz, a potem skacze przez okno, padając na materac. Jakby na piasek albo w śnieg.

Dzień po dniu, milimetr po milimetrze, tysiącem ćwiczeń i ich powtórzeń dziecko wykrada się kalectwu, przybliża do normalnego życia w domu.

„Zasadą rehabilitacji — tłumaczą mi — jest ciągłość, długie, wielomiesięczne, najmniej półroczne stosowanie tego samego cyklu zabiegów".

W sali terapii zajęciowej króluje krasnal Hałabała. Bajecznie kolorowy, wyczarowany niewiadną ongi ręką dwunastoletniej Danusi Z. jest jakby muzą i patronem jej kolegów. Tych, którzy jeszcze tu zostali i tych, których nieszczęście tu sprowadzi.

Zanim nauczą się malować jak Danusia, muszą rozruszać swe paluszki, trzymać ołówek w ręku, umieć nim sunąć po papierze w każdą stronę. To nie tak lat wo włożyć zatyczkę do dziurki, a już powtykać je na całej desce, rytmicznie, według kolorów, to wielogodzinny trud. Trzeba rozróżniać kształty i proporcje nim się do ręki weźmie plastelinę albo glinkę.

Tu głowa, tutaj tułów, tam ręce, niżej nogi i z układanki wychodzi krasnal z brodą. Najprostsza układanka jest dla nich szczytem analizy i syntezy.

Dziesiątki takich układanek, zbiory obrazków, figur geometrycznych, kukiełek, konstrukcji z plastykowych elementów, pojazdów — cały arsenał środków kształcących wyobraźnię. Sznurki, tasiemki, igły, guziki, nici, warsztaty tkackie — bogata narzędziownia do wyrabiania zdolności manualnych. „Terapia zajęciowa ma na celu przysło-

Dalszy ciąg na str. 6

Gruźlicze zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych i mózgu jest przede wszystkim chorobą wieku dziecięcego. Z powodu „inwalidztwa serologicznego", niedojrzałości tkanek, chwiejności ustroju, niemożności szybkiej mobilizacji mechanizmów obronnych właśnie dziecko jest narażone na nadkażenie prątkami.

*Od 1/3 do 1/2 wszystkich zachorowań na gruźlicze zapalenie opon i mózgu przypada na okres wieku od 6 miesięcy od końca 5 roku, a około 80 proc. na pierwsze 10 lat życia.*

*W Polsce umieralność z powodu gruźlicy spada szybko. Zapadalność spada w tempie wolniejszym, a chorobowość rośnie.*

*Zjawiska chorobowości i zapadalności są znacznie trudniej uchwytne statystycznie niż zjawisko umieralności z powodu gruźlicy. Chorobowość jest wynikiem corocznego dodawania liczby nowych zachorowań i odejmowania liczby zgonów i wyleczeń. Jest to zjawisko bardziej subiektywne, zależne od poglądu lekarzy na kryteria czynnej gruźlicy i wyleczenia z gruźlicy.*

W obawie przed przejściowymi powikłaniami, jakie się zdarzają, wiele rodziców objawia niechęć do zbawiennych szczepień BCG. Zdarzają się ponoć lekarze którzy nie chcą szczepić własnych dzieci i przestrzegają przed tym matki. Niektórzy rodzice nie dopilnowują kontroli skuteczności szczepień. W wyniku tego około 30% dzieci pozostaje faktycznie nieuodpornionych na gruźlicę.

*Istnieją tylko dwa źródła zakażenia: ludzie chorzy na gruźlicę oraz zwierzęta chore na gruźlicę (siewcy prątków).*

*W Polsce liczbę prątkujących dorosłych oblicza się na nieco powyżej 1% zaś liczba osób ze zmianami radiologicznymi nieco 2%. Należymy zatem do krajów o średnim zagruźliczeniu.*

Ponad 300 tys. prątkujących — oto miara zagrożenia.

„Meningity" stanowią wskaźnik epidemiologiczny. Jeżeli ilość ich się zmniejsza, to znaczy, że zapadalność na gruźlicę maleje.

W roku 1951 zanotowano w Polsce koło 1300 świeżych przypadków zapalenia opon i mózgu. Jest to liczba alarmująca. W tym czasie w CSRS wykryto zaledwie 20 przypadków, a w NRD 50. W CSRS lekarz, który wykryje meningitis, jest nagradzany.

*W latach 1947—50 akcję szczepień w Polsce prowadziła Światowa Organizacja Zdrowia za pośrednictwem Duńskiego Czerwonego Krzyża. Wykonano w tym czasie blisko 6 000 000 prób tuberkulinowych i zaszczepiono około 2 500 000 osób. Od 1950 r. akcję szczepień przejęły poradnie przeciwgruźlicze naszej służby zdrowia, a od 1955 r. obowiązuje w Polsce przepis przymusowego szczepienia noworodków.*

Ocenia się, że liczba chorych na gruźlicę przekracza w naszym kraju pół miliona ludzi, w tym prawie 100 tys. dzieci. Większość chorych z tej liczby cierpi na gruźlicę płuc, ale w gruźlicy pozapłucnej meningity stanowią poważny odsetek.

*Według statystyk Niemieckiej Republiki Federalnej częstość zachorowań na meningitis tuberculosa u dzieci szczepionych BCG i u nie szczepionych przedstawia się następująco: wśród 70 000 dzieci szczepionych zachorowało na meningitis 2, w tym samym czasie wśród 92 000 nie szczepionych — 274. W innej grupie dzieci (135000 obserwowanych przez 5 lat) u szczepionych stwierdzono 5 przypadków meningitis, u nie szczepionych — 685.*

*Biologicznie czynną metodą zwiększania obronności ustroju wobec prątka gruźlicy są szczepienia ochronne. Polegają one na wprowadzeniu do ustroju swoistych zarazków, pozbawionych cech chorobotwórczych, jednak o zachowanych zdolnościach wywoływania alergii tuberkulinowej, przede wszystkim alergicznej odczynowości. Prątkami tego typu są prątki BCG.*

*Pod wpływem szczepienia ustrój przechodzi pewną formę zakażenia, która nie powoduje nadmiernej wrażliwości uczuleniowej na działanie prątka, wzmaga natomiast w ustroju zdolności swoistej odpowiedzi odczynowej, nawet na uszkadzający wpływ chorobotwórczego prątka.*

*Szczepienia BCG chronią przed zachorowaniem 80% szczepionych. Ochrona ta w badaniach brytyjskich trwała średnio 6½ lat (użyta była szczepionka duńska).*

*Prace skandynawskie i czeskie wykazały ponadto, że ciężkie postacie gruźlicy, jak prosówka i gruźlicze zapalenie mózgu i opon, są wśród szczepionych niezmiernie rzadkie.*

# 18 TYSIĘCY DRAMATÓW

Dalszy ciąg ze str. 5

sowanie dziecka do samoobsługi. Bo chodzi również o to w rehabilitacji, ażeby dziecko po powrocie do domu nie było ciężarem dla otoczenia..."

Prócz tego rytmika, teatr lalkowy, przedszkole, szkoła. Wszystko pod okiem kwalifikowanych psychologów. Oni czuwają nad psychiczną rehabilitacją, dają wskazania do leczenia zahamowań w rozwoju umysłowym i upośledzeń charakterologicznych. A te ostatnie są najtrudniej usuwalne. Łatwiej nauczyć chodzić niźli wyzwolić od kompleksów, naprawić uszkodzenia najwyższych funkcji, sfery uczuciowej i moralnej.

IV

Najlepszy szpital nie zastąpi najgorszej matki — mówią, ale to półprawda. O ile dziecko powróci z kuracji bez szwanku, dom przyjmie je z otwartymi ramionami. Ale czy te ramiona zawsze są otwarte na przyjęcie kalek? Dom to nie tylko matka, to również środowisko, a środowisko rzuca kłątwy: „Chorował na głowę — musi być wariat..." Nierzadko pomeningitowe dzieci wiejskie pasają gęsi, krowy. Wracają do sanatorium ze spotęgowanymi przykurczami Opowiadano mi o szczęśliwie zrehabilitowanej Danusi L., którą na okresową kontrolę przywieziono z kompletnie odmrożonymi kończynami. Musiała chodzić do szkoły kilka kilometrów. Z reguły edukacja dzieci pomeningitowych kończy się na tylu klasach, ile zdążą ukończyć w sanatorium. Brakuje miejsc w zakładach dla dzieci nieuleczalnie chorych, tzn. głęboko fizycznie i psychicznie upośledzonych. Czeka się na te miejsca latami. W tym czasie blokują łóżka w oddziale rehabilitacyjnym. Co zrobić z tymi, którzy nie podpadają pod pojęcie nieuleczalnie chorych, którzy są sprawni fizycznie, lecz debilni? Mogliby wyuczyć się zawodu, być produktywni. Ale gdzie? Jeżeli tylko kierownik szkoły zawodowej zwęszy, że kandydat ma za sobą przebyty meningit, to koniec, klamka. Istnieje pilna społecznie potrzeba produktywizacji połowicznie zrehabilitowanych dzieci pomeningitowych i spastycznych. Bo jest ich, proszę państwa, w kraju ponad 18 tysięcy, w tym ponad 10 tysięcy uszkodzonych spastycznie po przebytych meningitach. 18 tysięcy dzieci z uszkodzeniami spastycznymi, to 18 tysięcy dramatów: rodzinnych i osobistych, dramatów napiętnowania i nieprzystosowania.

„Więc wasza praca — mówię do lekarzy Dziecięcego Ośrodka Sanatoryjno-Prewentoryjnego w Rabce, bo o nim jest tu mowa — okazuje się syzyfowa..."

„Czasami... Co robić... — Ale niech pan spojrzy na te zdjęcia. Tak wyglądał Marek K., kiedy go do nas przywieziono, a tak, gdy od nas wychodził. Tak wyglądała Marysia W. na początku, a tak po 8 miesiącach pobytu u nas..."

Tak i tak, tak i tak. Przerzucam zdjęcia. Całą triumfalną, ogromną, starannie prowadzoną dokumentację. W milczeniu. Nie znajduję słów.

ZBIGNIEW CHYLINSKI

*Por. pilot Franciszek Żwirko i inż. Stanisław Wigura, jeden z konstruktorów RWD 6 — w kabinie samolotu RWD 6.*

ZBIGNIEW JAN CHOJNACKI

## *W 30 ROCZNICĘ ZWYCIĘSTWA i ŚMIERCI*

Sierpień 1932 roku dobiegał końca. Słoneczne, pogodne dni sprzyjały tej gigantycznej imprezie, nadawanej przez wszystkie radiostacje Europy i zapełniającej szpalty najpoczytniejszych dzienników na całym świecie. Rozpoczął się Międzynarodowy Turniej lotniczy — Challenge de Tourisme International, zainicjowany w 1929 roku przez Aeroklub Francji, a powtarzany co dwa lata. Zgodnie z regulaminem Challenge'u kolejne zawody organizował kraj, którego piloci zwyciężali w poprzednim turnieju. Tym razem zaszczytny udział organizowania Challenge'u przypadł Niemcom, którzy spodziewali się ponownego i jeszcze większego sukcesu. Uczestnikami zawodów roku 1932 byli: Niemcy, Polacy, Francuzi, Czesi, Szwajcarzy i Włosi, a miejscem ich spotkania lotnisko Tempelhof pod Berlinem.

Polskę reprezentowało pięć załóg: trzy na samolotach PZL XIX, zbudowanych przez Państwowe Zakłady Lotnicze i dwie załogi na RWD-6, skonstruowanych w Doświadczalnych Warsztatach Lotniczych w Warszawie. Najgroźniejszym przeciwnikiem Polaków był niewątpliwie as lotnictwa niemieckiego, dwukrotny zwycięzca poprzednich Challenge'ów — pilot Morzik. Niemałe szanse na zwycięstwo posiadał drugi pilot niemiecki: Rheinhold Poss, którego prasa niemiecka określała jako „jedną z najostrzejszych kling lotnictwa niemieckiego". Poza tym Niemcy wystawili 16 samolotów reprezentujących pięć najnowocześniejszych typów, z których najlepszymi były: Heinkel-He-64 i Messerschmidt-Me-29.

Na kilka dni przed rozpoczęciem zawodów wszystkie samoloty zgromadzono w hangarach lotniska Tempelhof na pokaz dla publiczności. Od tej chwili rozpoczął się już triumf Polski.

Przez wiele lat w niemieckich szkołach, prasie i przemówieniach prowadzono fałszywą propagandę przeciw Polsce, wpajając Niemcom wiadomości o rzekomym warcholstwie, niedołęstwie i próżniactwie Polaków, w co zresztą społeczeństwo niemieckie wierzyło. Toteż tłumy berlińczyków i przyjezdnych obywateli innych miast niemieckich z niedowierzaniem podziwiały nasze samoloty wystawione w jednym z hangarów. W szczególny zachwyt wprawiała ich RWD-6. Oglądano i fotografowano samolot ze wszystkich stron. Zaś do współkonstruktora samolotu, inżyniera Wigury podchodzili dziennikarze i specę od lotnictwa, zadając tak liczne pytania, że ledwie nadążał odpowiadać. Nie brakło i takich, którzy kiwając z uznaniem głowami, szeptali: „Ładny, bo ładny, lecz kiedy przyjdzie do lotu — rozleci się w powietrzu!".

W czasie prób technicznych RWD-6 zdobyła największą ilość punktów za elegancką sylwetkę oraz komfort, wygodę i bezpieczeństwo.

Nastąpiły ciężkie próby sprawności samolotu i załogi. Zawodnicy oczekujący swej kolejki, jak i zebrana publiczność z zapartym tchem śledzili wyczyny poszczególnych pilotów.

Porucznik Żwirko, jednym pociągnięciem drążka sterowego podrywa rozpędzony samolot do góry, tuż przed samą ścianą ośmiometrowej wysokości... Widzowie wstrzymują oddech... Udało się!... Musiało się udać! Zrywają się oklaski. Następnie trzeba w jak najkrótszym czasie odczepić skrzydła, przeprowadzić samolot pod bramką i ponownie zmontować płaty. Burza oklasków nie milknie. Żwirko i Wigura wykonali tę czynność w ciągu... jednej minuty! Sypią się punkty dodatnie...

I oto jedna z najtrudniejszych prób: przelecieć przestrzeń długości trzystu metrów tam i z powrotem, na niskim pułapie i przy najmniejszej szybkości samolotu. Niski pułap to 50 m nad ziemią, a szybkość nie może przekraczać 63 km na godzinę! Egzamin dla pilota niezwykle męczący i niebezpieczny. W tak powolnym locie na niskim pułapie maszyna może prędko wytracić równowagę, a przy tej wysokości — śmierć pewna.

Pilot Żwirko wykonuje ten lot w okropnej dla siebie pozycji — zawieszony do góry nogami, ponieważ samolot musi ogonem zwisać nad ziemią. Publiczność zaniemówiła z wrażenia... Niemcy dopiero teraz widzą że samolot nie rozlatuje się... Po wylądowaniu zrywa się huragan oklasków... Ludzie nerwowo dyskutują o locie Polaka. Publiczność i inni zawodnicy zachwyceni tym wspaniałym pokazem! Polak podczas tej próby osiągnął szybkość jakiej nie był w stanie uzyskać żaden z uczestników zawodów — pięćdziesiąt siedem i pół kilometra na godzinę!

Sumują punkty za wszystkie próby techniczne. W napięciu oczekuje się ostatecznych wyników. Polska zdobywa największą ilość punktów i pierwsze miejsce za próby techniczne. Wreszcie następuje najtrudniejsza konkurencja Challenge'u — lot dookoła Europy! Lot pełen niebezpieczeństw, wymagający od załóg i samolotów niesłychanego wysiłku. Trasa wiedzie niemal ponad wszystkimi krajami Europy. Z Berlina nad Niemcami, Polską, Czechosłowacją, Austrią, Jugosławią, Włochami, Szwajcarią, Francją, Holandią i Szwecją, aby lądować w Berlinie po przebyciu w dwóch dniach trasy 7.362,6 kilometra.

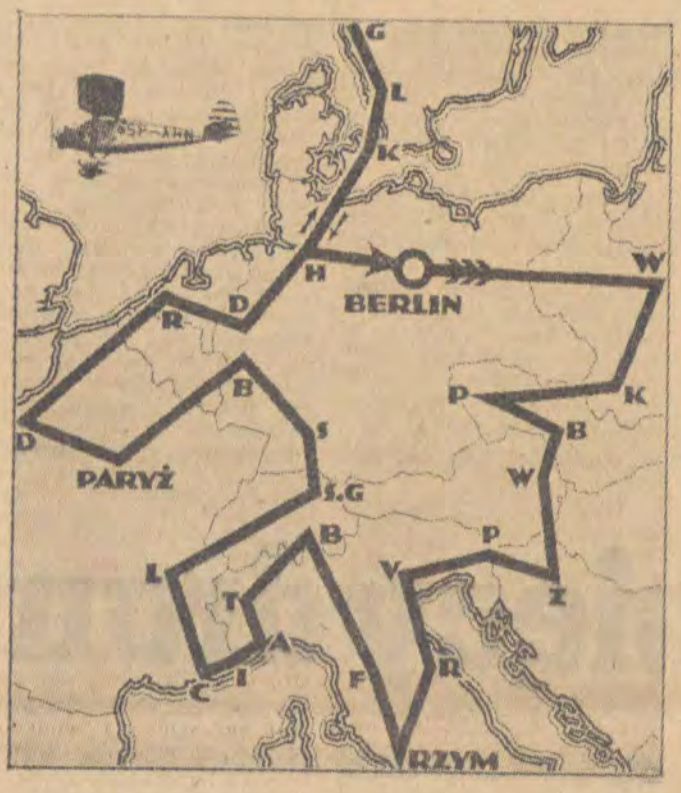


*Trasa organizowanego przez Niemców Challenge'u, w którym załoga: ppor. pilot Żwirko i inż. Wigura, zdobyła pierwsze miejsce, zwyciężając współzawodników wszystkich państw i uzyskując dla Polski puchar przechodni.*

Rozgrywa się bardzo dramatyczna walka między załogami kilku krajów. Każdy kilometr oznacza walkę z żywiołem: z wichrem, mgłą, deszczem i oblodzeniem. W punktach lądowania dowiadują się lotnicy o swych współzawodnikach. Dwóm najlepszym samolotom włoskim odpadły skrzydła. Był też jeden wypadek śmiertelny. Rząd włoski wycofuje swoją ekipę z zawodów. Wielu pilotów ląduje z powodu defektów maszyn w przygodnym terenie. Ekipy bohaterskich lotników dziesiątkowane są na każdym niemal kilometrze. Kapitan Bajan leci wśród okropnego żaru, silnik ogrzewa jego maszynę do 40°C, a lecący z nim mechanik Pokrzywka okłada kapitanowi głowę lodem, aby wytrzymał i nie dał się wyprzedzić innym. Niebezpieczny lot nad Alpami. Góry całe spowite oparami mgły. Piloci lecą na oślep. Przy najmniejszej nieuwadze wpaść można na jakąś turnię, rozbijając samolot w drzazgi. Zbliża się ostatni etap rajdu. Do mety już niedaleko... Do mety zbliżają się kilometr po kilometrze załogi Polski, Niemiec i pozostałych Włochów, którzy nie wycofali się z zawodów. Kto będzie pierwszy? Włoch Colombo — mający tylko małą przewagę, czy Niemiec Poss albo dwukrotny zwycięzca poprzednich Challenge'ów — Morzik? A może Polak: Franciszek Żwirko? Na krótko przed metą szanse ich są jednakowe...

I oto ostatni akt tej ciężkiej rozgrywki: „Deutsch-Polnische Luftduell" — jak wówczas pisała prasa niemiecka.

Polacy do tej chwili posiadają 465 punktów. Najgroźniejszym ich przeciwnikiem jest Niemiec Poss, mający tylko o sześć punktów mniej. Niemcowi jednak lepiej wypadła próba startu na początku turnieju, która w razie jednakowej ilości punktów przy pierwszym miejscu decyduje o zwycięstwie. Innym polskim załogom nie bardzo się powiodło.

SP-AHN gna na pełnych obrotach do mety. Żwirko rozgląda się rozpaczliwie wkoło. Z zadowoleniem stwierdza, że nikogo za nimi nie ma, a więc jednak będą pierwsi na mecie... Oby tylko maszyna nie odmówiła posłuszeństwa na ostatnich kilometrach!... Na linii mety lekko ląduje srebrna RWD-6 ze znakami SP-AHN. Polacy okazali się najlepszymi pilotami w rajdzie, a ich maszyna najlepszą w Europie. Nie znaczy to jednak, że Żwirko i Wigura zostali już zwycięzcami Challenge'u. Nazajutrz ma się odbyć lot na trasie Berlin—Frankfurt i z powrotem. Ten trzystukilometrowy odcinek, na którym rozegra się ostatnia próba zawodów — próba szybkości, ma wyeliminować zwycięzcę Challenge'u.

Lotnisko berlińskie wypełnia pięćdziesięciotysięczny tłum widzów, z zapartym oddechem oczekujących wyniku Challenge'u. Każdy chce widzieć, kto będzie zwycięzcą tej lotniczej olimpiady. Niemcy pewni są zwycięstwa do ostatniej chwili. Jest 28 sierpnia 1932 roku.

Pierwsza startuje SP-AHN RWD-6 z załogą: Żwirko i Wigura. Samolot mija Tempelhof i rwie na pełnych obrotach w kierunku Frankfurtu. Tuż za „erwudziakiem", usiłując go prześcignąć, lecą dwie maszyny niemieckie. To Morzik i Poss chcą wykorzystać ostatnią szansę wyścigu. Nieco za nimi leci Szwajcar Fretz. Żaden z zawodników nie żałuje silnika. Wigura dzierżąc w rękach stopery, ogląda się poza siebie, widzi jak Niemcy usiłują zrównać swój lot z maszyną polską. Pilotujący SP-AHN Żwirko, dociska dźwignię gazu. Silnik aż jęczy z wysiłku. Wskazówka szybkościomierza waha się, jak gdyby chciała wyskoczyć poprzez przykrywające ją szkło. 210, 212, 215, 217, 220 kilometrów na godzinę!... Silnik pracuje na większej mocy niż podczas prób fabrycznych. Jest nareszcie Frankfurt! Żwirko kładzie maszynę w głęboki skręt, zrzucają na dół meldunek i zawracają do Berlina...

Publiczność na lotnisku wytęża wzrok patrząc na zachód. Kto będzie najszybszym? Ktoś patrzy przez lornetkę... „Jest czarny punkt! — woła. — Coraz większy... Coraz wyraźniejszy...". Patrzący przez lornetkę wykrzykuje po niemiecku: „Jest! Jest! Polak!"...

Na lotnisku cisza, jakby makiem posiał. Słowo to zmroziło pięćdziesiąt tysięcy serc, które zdawałoby się zamarły ze zdumienia. Garstka widzów polskich nie posiadała się z radości.

RWD ląduje na lotnisku nie zagrożona przez nikogo. Zrywa się burza oklasków. Ludzie wyją z radości i zachwytu. Nawet Niemcy są pełni podziwu dla polskiego bohatera przestworzy, i tak doskonałego samolotu.

Prowadzą Żwirkę na podwyższenie wśród huraganu nie milknących oklasków i okrzyków rozentuzjazmowanej publiczności, zalegającej trybuny. Flaga polska wpływa na maszt. Orkiestra gra polski hymn narodowy. Melodia Mazurka niesie się ponad Berlinem, rozbrzmiewając w głośnikach radiowych całego świata. Publiczność wstaje z miejsc i zdejmuje nakrycia głowy, z szacunkiem spoglądając na zwycięzcę... Po raz pierwszy w historii, w stolicy Niemiec — Berlinie, rozbrzmiewają dźwięki polskiego hymnu narodowego. Ten prosty i skromny człowiek — porucznik-pilot Franciszek Żwirko, swoją odwagą i siłą woli zmusił władczych Niemców do ukorzenia się przed polskimi skrzydłami...

Drugie miejsce zajął Niemiec Poss, a trzecie najgroźniejszy konkurent Żwirki — Fritz Morzik. Dzięki temu zwycięstwu Polska stała się światową potęgą lotnictwa sportowego!

Niestety, nasi dzielni lotnicy niedługo cieszyli się swym chlubnym zwycięstwem, ponieważ zaledwie w kilkanaście dni po tym wielkim tryumfie zginęli w drodze na Zlot do Pragi Czeskiej, w dniu 11 września 1932 pod Cierlickiem. W tym roku przypada trzydziesta rocznica Ich wielkiego zwycięstwa i tragicznej śmierci!

# SP-AHN to RWD-6!

MAREK WAWRZKIEWICZ

# ELEGIA POŻEGNALNA

W hotelowym pokoju czytam ci wiersz
(Jaka jest cisza
Za oknem za ciemnością pejzaż Andersena
I śnieg i latarnie. Jaka tutaj cisza.
To krzesło stoi skośnie do płaszczyzny ściany
Cień wybiega na sufit i stoi u drzwi
Skrzypi głos na ulicy i sypią się kroki)

W hotelowym pokoju czytam ci wiersz
(Czy zaśniemy razem
Powróci wszystko we śnie Elegie pożegnań
Ziemia sprawnym obrotem wymknie się spod nóg
Rozdzieli nas światło Twoje słowo żegnaj
Wyniosę z sobą słowo Twój gest zapamiętam
Wyniosę trochę żalu Albo może rozpacz
I strach Przerażenie jeśli słyszę płacz
Kiedy usypiając gubimy się sobie
W wewnętrznych stronach nagle nieruchomych rąk)

W hotelowym pokoju czytam ci wiersz
(Wieczorne odjazdy
Dyktando megafonu Przydymione dworce
I jeszcze sen z daleka I daleko głos
Oczy na mnie patrzące Nie widzące nic
I wiatr na peronach Światła żółte mżące)

W hotelowym pokoju czytam ci wiersz
(Zasnę już w podróży
Bezcelowej Bez sensu Inny będzie sen
I inny już krajobraz bez ciemności w górze
Rano pragnienie przyjdzie A nie będzie mnie
I będę ciebie pragnął nie ten Całkiem inny)

* * *

Tylko echo w ciemnych belkowaniach
Albo inne
Goni głos pod późnoromańskim sklepieniem
Jaki wiatr
I podróż niedaleka
Od czasu jodły i jeszcze od czasu
Palenia czarownic
Echo w czasie mieszka
Echo mieszka w ponurych komnatach

Więc jaki wiatr cię przewiał przez granice echa
I czy to był wieczór czy promienny ranek
I czyś warkocz zaplotła martwiejącą ręką

O trzysta lat bez mała boleśnie spóźniony
Piszę ten wiersz do ciebie
O obmyta w wodzie
Wolno płynącej Wisły czerpanej konwiami
z jaśniejącego drzewa
O pachnąca wodą
Której uśmiech zabrano w oniemiałej wiośnie

W tych samych sukniach jesteś srebrem
naszywanych
Z których już wszelki zapach wywietrzał
A popiół
Nakrył ci twarz i głowę
Nie wiem czy ty byłaś
Tak jesteś już daleka i tak mało ludzka

Rzeka tak samo płynie
Ja teraz wychodzę
Swobodny że płaczu po tobie nie słyszę
I szukam go daremnie
Zmarły tamte echa

Ulice wiatru pełne Wiatr w komnatach mieszka
A w starych wieżach ptak I wiatr w nich roznieca
Migotliwą figurę na niebie wieczorem

* * * * * * * * * * * * *

Z tomu „Orzech i nimfa", który ukaże się nakładem „Czytelnika".

# DEFINICJE RZECZY BANALNYCH

Jerzemu Dębskiemu

Oto kwiat
Poeta go powie zapachem
Kiedy zima nie mówi Jest głuchy na kolor
Oto śnieg
Tu pamięć przywodzi widzenie
Na biel drogi nanizana jedna czarna postać
Oto kształt
On się rodzi po zamknięciu oczu
Jeśli kwadrat to palce sztywnieją i milkną
Oto nic
Nic zupełne
Jak wiele wyrazu

WACŁAW BILIŃSKI

# PUŁKOWNIK WILLIAM FAULKNER

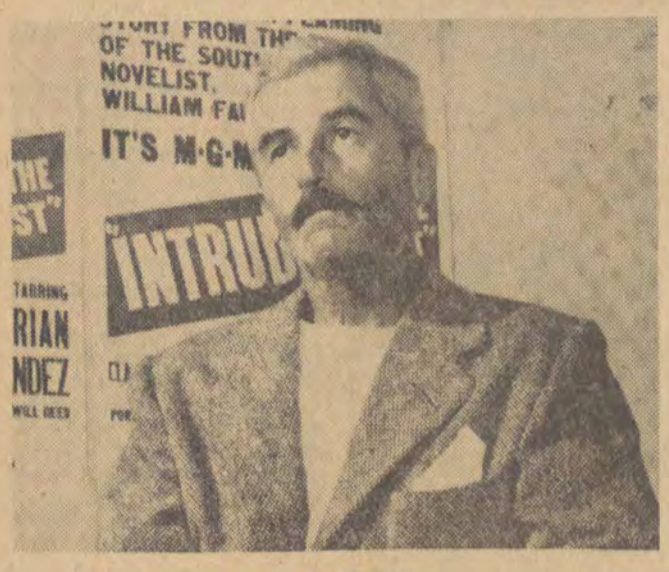


*William Faulkner*

W roku 1839 William Faulkner, wówczas ledwie 14-letni wyrostek, uciekł z domu: awantura zaczęła się od bijatyki ze starszym bratem, do której wmieszał się gniewny ojciec i William dostał tęgie baty, bowiem w rodzinie już uchodził, mimo swych 14 lat, za niepoprawnego awanturnika. Cięgi były niesprawiedliwe i wywołały wstrząs: chłopak zbuntował się, uciekł z domu i przewędrował o chłodzie i głodzie kawał świata, by wreszcie dotrzeć w samo serce Południa, do stanu Missisipi.

Oczywiście, zorientowaliście się już państwo, że William Faulkner, o którym właśnie mowa, to prapradziadek zmarłego niedawno pisarza, laureata Nobla. Lecz ów sprzed stulecia założyciel dynastii Faulknerów dziś interesuje nas nie tylko jako bohater literackiej anegdoty: dzieje prapra—Faulknera rzucają snop światła na wiele aspektów twórczości jego wielkiego prawnuka. Wścibscy dziennikarze, badając biografię laureata Nobla, odkryli, iż jako mały chłopczyk odpowiadał on nauczycielowi na pytanie — „Kim chciałbyś być?" — zawsze i bez namysłu — „Pisarzem. Jak mój pradziadek". I nie darmo takie postacie z jego późniejszych książek jak Bayard Sartoris czy pułkownik Sutpen — to przecież niemal fotograficznie wierne portrety romantycznego prapradziadka.

A był to duch niespokojny. Po ucieczce z rodzinnych stron zaaklimatyzował się na dzikim wówczas Południu, w kilka lat później zdobył stanowisko szeryfa i wkrótce dokonał szczególnego wyczynu: złowił zbrodniarza ściganego za liczne morderstwa a następnie obronił go przed nieuchronnym lynczem — by potem w czasie paru bezsennych nocy spisać burzliwą i niezwykłą historię życia tego przestępcy. Zbrodniarz został zasądzony na śmierć i stracony, a William Faulkner-senior — szeryf i dziennikarz w jednej osobie — pod szubienicą sprzedał dwa i pół tysiąca egzemplarzy opowieści o życiu bandyty. Był to pierwszy sukces literacki w tradycji rodzinnej. Wkrótce przyszły następne, i kiedy w roku 1880 prapradziadek Faulkner wydał awanturniczą powieść „Biała róża z Memfis", stała się ona prawdziwym bestsellerem: rozeszła się w 174 tysiącach egzemplarzy i w kolejnych 35 wydaniach.

Lecz pisarstwo — owo „życie na kartce papieru" — nie wystarczało pra-Faulknerowi: zawsze wyżej cenił prawdziwe, bujne życie Południa nad jego literacką replikę. Przez dziesiątki lat pojedynkował się z byle powodu, brał udział w awanturniczych wojennych eskapadach, w wojnie meksykańskiej i w wojnie secesyjnej, a wreszcie syty wrażeń, swym zmęczonym piórem przekazał potomności własny — na pewno upiększony — wizerunek rycerza bez skazy, szaleńczo odważnego i ryzykującego dla byle błahostki życie własne i cudze, rycerza cwałującego w glorii świetnych zwycięstw, lub nie mniej heroicznych klęsk, na czele białych szwadronów Południa. Cóż więc dziwnego, że „Stary" — a takie zostało mu nadane w rodzinie przezwisko — że więc „stary pułkownik" stał się wzorem dla wielu postaci z powieści prawnuka. I właśnie chyba z myślą o prapradziadku przyszły laureat Nobla napisze w jednym ze swych opowiadań: „Gdyby sam Pan Bóg miał zstąpić z niebios i jeździć konno po tej zwyczajnej ziemi, to na pewno by sobie umyślił, że tak właśnie będzie wyglądać".

Prócz romantycznej działalności pradziadek Faulkner okazał również i wiele praktycznych cech: zdobył dużą fortunę, zbudował linię kolejową, założył finansową dynastię. Dynastię, która nie przetrwała długo, i której upadek po półwieczu miał natchnąć genialnego prawnuka: w wiele lat później pod piórem Williama juniora rodzinna historia czy legenda przekształci się w posępną historię mitycznego hrabstwa Yoknapatawpha: tu rozegra się symboliczny dramat Południa, dramat Sartorisów, Comsonów i Sutpenów. A my, czytelnicy w tych właśnie postaciach doszukiwać się będziemy rodzinnych cech klanu Faulknerów, jako że po starym pułkowniku nikt już nie miał okazać w tej rodzinie tak szczególnego geniuszu: praktycznego i romantycznego zarazem. Pradziadek zginął z ręki wspólnika, zastrzelony znienacka — i w tej śmierci nie było chyba niesprawiedliwości, bo i sam pułkownik przecież nieraz zabijał. A po jego śmierci interesy rodzinne szły coraz gorzej, majątek rozpływał się synom i wnukom między palcami, tak że ojciec Williama Faulknera — laureata Nobla — miał całe niemal życie przepracować — o ironio losu! — jako konduktor, na tej właśnie kolei, którą zbudował i której był wyłącznym właścicielem niezwykły pradziadek.

Pod powierzchnią romantycznej legendy rodzinnej ukryły się jeszcze inne cechy dziedziczne, bardziej trwałe niż majątek: pewne tradycje i pewne nałogi. Dziadek pił tęgo, alkoholizm miał jeszcze nieraz objawić się w tej rodzinie, by stać się fatum genialnego prawnuka. A poglądy polityczne pradziadka miały również przekształcić się w kłopotliwy bagaż obciążający Faulknerów jeszcze i w drugiej połowie dwudziestego wieku. Wszak to pradziadek w tym zakątku Południa założył przed stu laty partię polityczną, która była zalążkiem późniejszych, skrajnie reakcyjnych i rasistowskich ugrupowań.

A wreszcie skłonność do szaleńczego ryzykanctwa, pogarda dla przeciętności, wstręt dla obyczajowego konwenansu: ujawniły się one u prawnuka z ogromną siłą, z siłą dziedzictwa. I William Faulkner-junior, uwielbiając jazdę konną i myśliwstwo, silniejszych wrażeń szukał w lotnictwie, by jako pilot-myśliwiec, a potem ryzykant w cyrku lotniczym brać udział w eskapadach karkołomnych, coraz śmielszych i coraz bardziej bezsensownych, póki w jednej z nich nie zginie tragiczną śmiercią jego brat. To będzie też przeznaczeniem, zrządzeniem losu, to będzie sądzone — jakby powiedział i pradziadek i prawnuk — podobni do siebie psychicznie i fizycznie. Zachowany portret starego pułkownika wydaje się nam bowiem stylizowanym na lata osiemdziesiąte ubiegłego wieku wizerunkiem genialnego pisarza: to same twarde spojrzenie, ten sam szlachetny profil i zacięty, pogardliwy wyraz ust. A nawet wzrost ten sam — niewiele ponad metr pięćdziesiąt, wzrost, który obu tych mężczyzn przyprawił o kompleksy.

A więc trzeba nam uznać prapradziadka Faulknera — pisarza, bankiera, pioniera, bohatera Konfederacji i rewolwerowca — za współtwórcę niezwykłego eposu Południa. Jemu to zawdzięczamy w pewnym sensie, bodaj największe literackie dzieło naszych czasów.

Nagrodzony w konkursie projekt Domu Przemysłu Włókien Sztucznych. O konkursie tym sygnalizowaliśmy w jednym z sierpniowych numerów, życząc powodzenia zespołowi łódzkiemu, uczestniczącemu w konkursie. Wygrał ostatecznie zespół krakowski. Gratulujemy!

*Fot. W. Kraska.*

Pokłosie lata

# TAJEMNICE TURYSTYKI

REPORTAŻ Z INWOKACJĄ DO POLAKÓW

PIOTR GOSZCZYŃSKI

W Cieszynie, na punkcie granicznym noszącym nazwę — „Most przyjaźni" w długiej kolejce czekają na odprawę celną wyjeżdżający z Polski turyści — nasi i zagraniczni. Nasi — w „Warszawach", „Syrenkach", „Wartburgach", „Fiatach" i „Skodach" wszelkich modeli, zagraniczni — w wielkich „Mercedesach", „Volkswagenach", „Chevroletach", „Pontiakach". Urzędnicy celni uwijają się jak w ukropie — lato — wiadomo — sezon turystyczny w całej pełni.

Z szarej „Warszawy" wysiadają: pan, pani i młoda dziewczyna — małżeństwo z córeczką. Paszporty mówią same za siebie: szara „Warszawa" nie jedzie na szlaki turystyczne któregoś z państw demokracji ludowej szara „Warszawa" poprzez Cieszyn Czeski, Ołomuniec, Pardubice, Brno dojedzie do granicy austriackiej, być może jeszcze dalej, na szerokie autostrady Italii. Na razie trzy paszporty powędrowały do rąk oficera Wojsk Ochrony Pogranicza, by po chwili znaleźć się już na biurku inspektora Urzędu Celnego.

Kierowca „Warszawy", pan w jasnopopielatym garniturze jest niezwykle uprzejmy, jak na gust celników — zbyt uprzejmy. Celniczkę czestuje wedlowskimi pralinkami, zaś w stronę kilku celników wyciąga biało-żółtą paczuszkę „Cameli":

— Proszę karnet, polisę ubezpieczeniową — mówi urzędnik w zielonym mundurze.

Pieczątka ląduje na odcinku wyjazdowym, urzędnik celny wypisuje pokwitowanie na list gwarancyjny szarej „Warszawy" i oto następuje moment najbardziej „uroczysty" — wyniesienie z samochodu walizek. Jedna przy drugiej stają na ladzie Urzędu Celnego.

Pan w jasnopopielatym garniturze jest mimo wszystko bardzo zdenerwowany — kluczyk trzymany w ręku ani rusz nie chce trafić do zamka walizki.

— Co państwo macie do oclenia? — pada pytanie.

— My? — małżonka posiadacza szarej „Warszawy" ma wyraźnie zdziwioną minę — myśmy nic nie wzieli ze sobą prócz rzeczy osobistych.

— Aparat fotograficzny państwo macie?

Pan zdążył się już uporać z opornym kluczykiem, z wnętrza walizki wyjmuje stary, wysłużony aparat typu „Kodak-Bebi".

— Jest — mówi.

— Ile państwo macie papierosów?

— Po dwieście sztuk na osobę, córka też pali — brzmi odpowiedź eleganckiej mamy.

Odprawa celna przebiega szybko i sprawnie, w miarę zaś zamykania kolejnych walizek i walizeczek twarz posiadacza „Warszawy" staje się coraz pogodniejsza i spokojniejsza. W końcu wszystkie walizki są już przejrzane, a pan w szarym garniturze pyta:

— Panie inspektorze, czy możemy już walizki ulokować w wozie?

— Proszę uprzejmie — mówi młody celnik.

Mama i córka chyżo rzucają się do pomocy mężowi i ojcu, celnik idzie za nimi.

— Czy mógłby pan otworzyć kufer?

— Kufer? W kufrze są tylko narzędzia i koło zapasowe.

— Mimo to, proszę otworzyć...

Zamek od kufra „Warszawy" jest jeszcze oporniejszy niż zamki walizek, ponieważ celnik nie robi wrażenia człowieka, którego by zniechęcały takie drobiazgi, w końcu i kufer powoli otwiera się.

Celnik jest szybki i pewny — opona z kołem zapasowym nie interesuje go, również lekceważąco odsuwa na bok torbę z narzędziami, spod koca ukazuje się żółty futerał aparatu fotograficznego. Pracownik Urzędu Celnego z ciekawością ogląda aparat.

— Ładna sztuka, w Związku Radzieckim ten „Start kosztuje 120 nowych rubli — stwierdza z miną fachowca, któremu nie są obce ceny rynkowe. Potem zaś dodaje:

— Za ten aparat można by w Wiedniu dostać 3.500 szylingów.

Właściciel popielatej „Warszawy" milczy. Milczy również jego małżonka i jego córka. Za to urzędnik placówki celnej staje się rozmowny:

— Sporządzimy maleńki protokólik, papierośnicę i aparacik zezwolimy panu wywieźć przy zastosowaniu odprawy warunkowej.

Po paru minutach, gdy towarzystwo „ładuje" się do „Warszawy" twarze pana, pani i ich córeczki wyrażają pełną rezygnację — trzeba zapomnieć o „szałowych" szpilkach włoskich, pięknych sweterkach i wielu, wielu innych przedmiotach, które można by zakupić w Wiedniu lub gdzie indziej, gdyby nie... „nos" urzędnika.

Foto: CAF

Pod torbą leżą stare spodnie, takie jakie zakłada się do mycia wozu:

— To są stare spodnie — informuje uprzejmie pan w jasnopopielatym garniturze.

— Widzę — replikuje urzędnik cła i najspokojniej wkłada rękę do kieszeni owych starych spodni.

Po chwili trzyma w ręku złotą papierośnicę.

— A to co?

— O Boże, to moja papierośnica, którą przy myciu wozu włożyłem do starych spodni.

Twarz urzędnika nie wykazuje zdziwienia, nawet trudno go posądzić o ironię, gdy mówi:

— Ja też kiedyś tak zostawiłem paczkę „Sportów" w starym ubraniu...

W rogu samochodowego kufra leży koc, ręka urzędnika sięga pod koc i oto

Szara „Warszawa" przejechała przez „Most Przyjaźni" stoi już po czesko-słowackiej stronie, ja zaś pytam celnika:

— Często, panowie macie takich klientów?

— Przecież to granica — brzmi prawie filozoficzna odpowiedź.

— Niczemu się pan nie dziwi?

— Owszem, często się dziwię. Oto wyjeżdżający na przykład do Węgierskiej Republiki Ludowej i do innych państw demokracji ludowej mają prawo pro persona do wymiany 1300 złotych polskich, na inną walutę — walutę kraju, do którego się udają. Tak więc za owe 1.300 złotych turysta otrzymuje 1010 forintów. Widocznie jednak nasi rodacy posiadają jakieś nadprzyrodzone zdolności handlowe, bo powracając, często-gęsto deklarują ilość towarów przywożonych na sumę wyższą niż 1.500 zł opłat celnych, co równa się chyba wartości przedmiotów zakupionych na Węgrzech rzędu 6—7 tysięcy forintów.

* * *

W Budapeszcie na Vaci utca, na Rakoci, czy na Lenin — hömt co dziesiąta osoba mówi po polsku — w sklepach z obuwiem ten stosunek zmienia się już wyraźnie na korzyść Polaków — co druga osoba od urodzenia włada językiem polskim. Rodowity Węgier chcąc kupić buty słyszy już po obiedzie radę:

— Proszę przyjść jutro rano, będzie nowy transport — dzisiaj wszystkie buty wykupili Polacy.

* * *

Na kamienistym nabrzeżu Balatonu w Balatonföldvar na matach, materacach ciało przy ciele — słońce praży, człowiek oddaje się rozkosznym marzeniom. Pani Halina przyjechała z Warszawy, pani Halina ma twarz anioła, i nic — na oko — wspólnego z ziemskimi sprawami. Pani Halina marzy głośno:

— Za te dziesięć metrów białego płótna co tu przywiozłam, dostałam 1000 forintów, moja gospodyni kupiła ode mnie płaszcz z ortalionu za 520 forintów, to już 1520, sprzedałam jej oba koce po 300 forintów — to już 2120 forintów, za walizkę skórzaną, którą kupił ode mnie portier w hotelu w Budapeszcie dostałam 300 forintów — to już 2.420, Wacek pożyczył od znajomych w Budapeszcie 4 tysiące, to już 6.420 — te dwa dwadzieścia cośmy dostali na wymianę to się zmieni na wino i dansingi...

* * *

W Hradec Kralova przed pięknym salonem czeskiej „Mototechny" stoją dwa „Wartburgi" z polskimi znakami rejestracyjnymi. Wewnątrz eleganckiego salonu z częściami wymiennymi nad ladą pochylają się dwaj panowie, próbujący mówić po „czesku".

— Gaźniki od „Wartburga" pane u was dostanem?

Czech kiwa ze zrozumieniem głową:

— Ano, ano...

Po chwili gaźnik leży na ladzie.

— Cztiry — mówi „po czesku" Polak. Patrzę na faceta, jak na wariata: po kiego diabła mu cztery gazniki? Pytam go więc o to co prawda w nieco uprzejmiejszej formie.

Obaj panowie rechocą radośnie, ten wyższy zaś uświadamia mnie:

— Za 1000 złotych dostałem 800 koron. Za osiemset koron mogę kupić 8 gaźników, jeden gaźnik w Polsce kosztuje 1200 zł. Mam 9.600? Mam! — Panie drogi, części samochodowe to najlepszy interes — tylko 10 zł cła od kilograma; a gaźnik ile waży? 350 gram i wszystko — trzy złote z groszami opłaty celnej za gaźnik. Widzi pan? Pieniądze leżą na ulicy tylko je trzeba umieć podnieść.

* * *

Rzeczywiście pomysłowość niektórych rodaków osiągnęła szczyty. A że czasem celnicy są zbyt wścibscy i zbyt gruntownie zaglądają do walizek i samochodów, tak że naraz całego majdanu zakupionego w Czechosłowacji do kraju przewieźć nie można? Trudno, wtedy koszty transakcji rosną, pewna część odpisać należy „na straty" — po raz drugi jedzie się samochodem, tym razem już tylko w tzw. pas konwencyjny i przywozi się resztę.

O rodacy! Gdybyście to w swej codziennej pracy tyle wykazywali pomysłów i inicjatywy twórczej, ile wykazujecie jej przy przekraczaniu nie tyle granicy naszego państwa, co obowiązujących przepisów celnych, byłoby w kraju lepiej, dużo lepiej. I chociaż prawdą jest, że wasz stan posiadania tego rodzaju „machlojki" podnoszą, to również prawdą jest, że nadużycia, o których tu piszemy są nadużyciami, nie tylko na szkodę państwa, lecz i na szkodę społeczeństwa.

* * *

Czy nasuwają się jakieś wnioski? O, tak! Po pierwsze: przepisy celne są jeszcze ciągle niedoskonałe i mają luki, przez które przemyt przecieka wcale nie wąskim strumykiem. Po drugie Urząd Celny wydaje się być zbyt słabo powiązany z władzami wystawiającymi paszporty i wkładki. Jasne jest przecież, że przed przemytnikami granica winna być szczelnie zamknięta.

— 101 —

### SHE FOOLED HIM

A little old lady came up to a train announcer. He asked:

— Where are you going?

The lady answered:

— What business is it of yours where I am going? You are very impertinent. But if you must know, I am going to Boston.

The announcer picked up her three bags, found her a seat in the Boston coach, and put the three bags on the rack above her head. As he descended to the platform, the old lady leaned out the window and said:

— I fooled you, you impertinent young man. I'm really going to Buffalo.

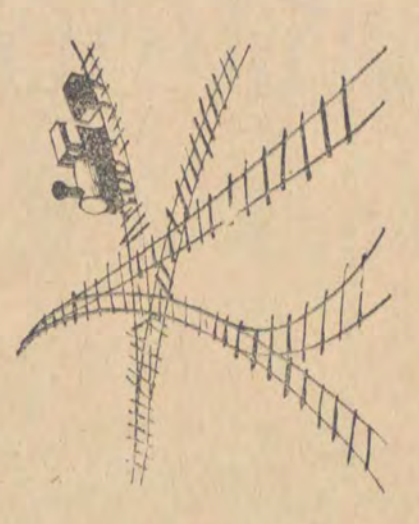

— 101 —

### EINE GESCHICHTE AUS DER TÜRKEI

Es lebte einmal in der Türkei ein junger Kaufmann. Er machte mit seinem Pferd eine Reise durch dieses schöne Land.

Der Tag war schön. Die Sonne schien hell. Die Vögel sangen lustig. Die Luft war frisch. Natürlich war der Kaufmann sehr zufrieden; wahrscheinlich auch das Pferd, aber das wissen wir nicht bestimmt.

— 104 —

### THEY WON'T LOAN HIM

A man asked another to loan him five dollars. The other said:

— Why, I don't know you.

— That's why I came here, for those who know me won't loan me five cents.

— 104 —

— This is Milton's „Paradise Lost", sir. Would you like to have it?

— No, thank you.

— 48 shillings altogether, sir.

— Very good. Here you are. Good-bye.

— 104 —

### ETWAS FÜR RECHENMEISTER (2)

Ein Mann hatte sieben Söhne und 4900 Gulden (viertausendneunhundert) in der Sparkasse. Der Mann war schon alt und er schrieb ein Testament:

„Der älteste Sohn soll schon heute von der ganzen Geldsumme 100 Gulden im voraus haben, und von der übrigen Summe den achten Teil nach meinem Tod.

Der zweite Sohn soll schon heute von der übrigen Geldsumme 200 Gulden im voraus bekommen, und vom Rest wieder den achten Teil nach meinem Tod.

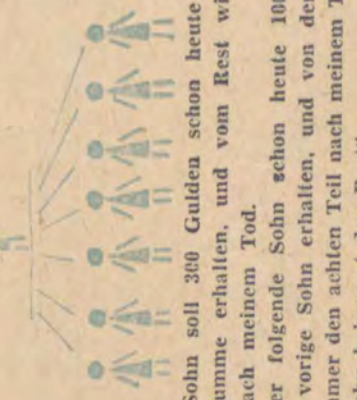

Der dritte Sohn soll 300 Gulden schon heute von der übrigen Geldsumme erhalten, und vom Rest wieder den achten Teil nach meinem Tod.

So soll jeder folgende Sohn schon heute 100 Gulden mehr als der vorige Sohn erhalten, und von der übrigen Geldsumme immer den achten Teil nach meinem Tod.

Der letzte Sohn bekommt den Rest".

Nach einigen Monaten starb der Vater. Sein letzter Wille wurde vollzogen. Wieviel Gulden hat jeder Sohn bekommen?

(709)

TADEUSZ PAPIER

# Magdalena o rannej godzinie

**14**

**Magda i Mariola, bohaterki „Magdaleny" przeżyły najgorsze chwile nie w więzieniu ale po opuszczeniu więzienia. Magda nie wróciła do matki. Zatrzymała się u siostry Marioli, Ireny. Przyjaciółki trafiły właśnie na ślub Ireny. Niektórzy goście weselni, zwłaszcza kolega pana młodego Tosiek, zachowywali się w stosunku do dziewcząt zbyt swobodnie. Magda i Mariola nie czekały już końca wesela i pojechały na Chojny, do ciotki. Tymczasem Tosiek nie daje spokoju dziewczętom. Zatelefonował do nich i zaproponował spotkanie w Grandce.**

**Od tej — nieudanej zresztą randki zaczyna się nowa seria przygód naszych bohaterek. A więc najpierw Geograf namawia Magdę do kontynuowania nauki. Kostek, syn Geografa, zakochany w Magdzie, zaprasza ją do Domu Kultury na zabawę. Pojawia się na scenie Narcyz. Wreszcie Mariola znika na całe dnie z domu i to najbardziej niepokoi Magdę.**

Ale Narcyz uniósł ostrzegawczo rękę, nie odrywając ode mnie swych iskrzących oczu, wariat, poznałam o co mu chodzi, wymowa tego gestu była oczywista, zagalopowali się z Ryżym, i Ryży zaczął się śmiać. „Alem się wygłupił" — powiedział i Ziutka również zaraziła się jego chichotem. Obydwaj spoglądali na mnie badawczo, jakby chcieli poznać, co myślę o tym wszystkim. Głowę bym dała, że ukrywali coś przede mną, po prostu, nie byli mnie pewni. Proszę mnie nie dręczyć pytaniami, sama powiem, jak się ta heca skończyła. Zaczęliśmy pić, o Marioli nie było mowy, tylko Narcyz po dwóch kieliszkach powiedział, że ten milicjant to jakieś nieporozumienie, może był u Marioli na prośbę Boruty? „Na pewno!" — krzyknęła Ziutka. „Bardzo się cieszę, żeś przyszła" — powiedział Narcyz. I znowu powtórzył, jak gdyby sam do siebie: „Bardzo jestem rad." „Pięknie to wyszło — odparłam — Więc jazda, mów dalej". „Magda! — zawołał całując mnie w rękę — chciałem się z tobą zobaczyć i to wszystko". „Naprawdę wszystko?" — zapytałam. Położył rękę na sercu, okropny pajac, i rzekł jakby występował w jakiej sztuce miłosnej: „Czy ci to nie wystarcza?" „W każdym razie nie zachwyca" — odparłam. Czułam się coraz gorzej, Narcyz widział to, zaczął zagadywać, nawracać do przeszłości. Ryży też mełł językiem, potrafił to robić, i Ziutka przyłączyła się do nich. Tematów mieli mnóstwo, jeśli pan sądzi, że dzieje paki Długiego były nieznane Ziutce albo Ryżemu, to się pan głęboko myli, w naszym wypadku nie trzeba było wzmianek w gazetach. Iśka mogła o mnie nic nie słyszeć, ale nic ci, pochodziliśmy z jednej parafii. Nie mam potrzeby przypominać, jaka ze mnie święta.

Zabawa się rozkręcała, ale brałam w niej coraz mniejszy udział, bawcie się beze mnie, myślałam, postanowiłam opuścić towarzystwo przy pierwszej okazji. Ziutka rozkrochmaliła się na całego, robiła wrażenie skończonej kretynki. Ale zorientowałam się, że to wszystko lipa, Ziutka była dobrą aktorką, inna rzecz, że wyglądała jak idiotka, ale to jej tylko pomagało, każdy ją brał za idiotkę, a ona tymczasem rządziła Ryżym, i sądzę, że również Narcyzem. Przestałam się dziwić, że Ryży gotów był dla niej robić różne szaleństwa. Miałam już dość ich głupich docinków, więc kiedy Narcyz zaczął zagrywać po staremu i obejmować mnie w pół, wcale nie byłam tym zachwycona, wstałam od stołu i powiedziałam, że sobie pójdę. Narcyz miał minę wyraźnie zawiedzioną, był zły, bo Ziutka, chcąc mi podchlebić, zaczęła z niego szydzić, przejrzałam ją na wylot, niby to występowała przeciwko Narcyzowi, a w gruncie rzeczy usiłowała mnie zatrzymać. Ale Narcyz się nie poznał na tej grze i z tym większą złością wystrzelił podobnie jak na meczu: „Cóż to, ciotunia nie pozwoli ci dłużej?" Więc już miałam dość Narcyza, i Ryżego, i Ziutki i odpaliłam ostro: „Powiedziałam ci raz, Narcyz, żebyś mi dał spokój i koniec!" Niech pan sobie wyobrazi, co chciał teraz uczynić Narcyz, widocznie przypomniał sobie, jak w takich okazjach postępował Boruta, bo chwycił mnie za ramiona i zaczął potrząsać. „Cóż to — powiedział zduszonym głosem — jasna księżniczka taka niełaskawa — cóż to — mówił dalej potrząsając mną — jasna księżniczka zapomniała o swojej przeszłości, to ja mogę jej wszystko przypomnieć." „Puść mnie, ty wariacie!" — zawołałam. Ryży mi pomógł, oderwał Narcyza ode mnie, przysięgłabym, że zrobił to na skinienie Ziutki, która na pozór nie interesowała się tą sceną, tylko zajadała kanapki, jakby była po tygodniowym poście. „Nie rób hecy, Magda — powiedział Ryży — nie wolno pogadać i pożartować?" „Można — odparłam — ale ręce przy sobie. „Ty, Magda, może myślisz — Ryży pochylił się nade mną i gadał jak to on potrafił, jednym tchem, gdyby to, co mówił, zapisać, nie trzeba by stawiać ani przecinków, ani kropek, Ryży po prostu wypychał słowa za słowami — że my chcemy cię namówić na jaką awanturę. Nic podobnego, miła ptaszyno. Nie wyobrażaj sobie, Bóg wie czego." „O cóż wam tedy chodzi?" — zapytałam. „Nie domyślasz się? — rzekł rozkładając ręce i patrząc na mnie uważnie — Czy widzisz w tym co złego, że chcemy się z tobą przyjaźnić?" „Oczywiście" — poparła go natychmiast Ziutka i zaczęła mnie głaskać po ręce.

Dalszy ciąg na str. 10

— 102 —

IT'S SAFE TO CROSS

A lady approached the trainmaster at the station and asked:
— What time does the train for the North go by?
— 3:30, — said the trainmaster.
A few minutes later she asked:
— What time does the train for the South go by?
— 4:17,— said the trainmaster.
A few minutes later she asked:

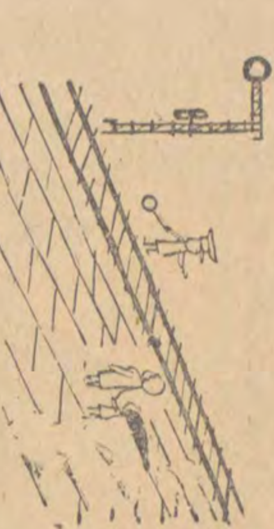

— What time does the train for the East pass here?
— To-night at 8, — he answered.
A few minutes later she asked:
— And what time does the train for the West go by?
— To-morrow evening, — said the trainmaster.
The old lady's face brightened:
— Come along, Andy, — she cried to the little boy on the platform. — It's safe to cross the tracks now.

— 103 —

AT THE BOOKSELLER'S

— Have you a copy of Shakespeare's works?
— Here is a fine copy, sir.
— I should like an illustrated edition, please.
— Sorry, sir, but we have none.
— Where can I get one?
— You might find a copy at the second-hand dealer in N. street.
— Have you got Byron's „Don Juan"?.
— Yes, sir. Here is an excellent copy.
— What is the price?
— 36 shillings, sir.
— Dear, isn't it?
— I wouldn't say that it is dear. It is neatly bound, sir.
— Very well. Put it aside for me, please. Now, what historical novels have you got?
— Here is Murray's edition of Scott's „Ivanhoe", sir.
— Of what year?
— 1929, sir.
— Let me see it, please. The illustrations are good. I shall take it.
— Yes, sir.
— What have you on the author himself?
— Nothing at present, sir.
— That'll be all. What is that you have over there on the second shelf?
— This, sir?
— No, the other. No, no, the one in scarlet.

— 102 —

Der Kaufmann reiste den ganzen Tag. Am Abend war er in einem Wald. Hier wollte er übernachten. Er band das Pferd an einen Baum und legte sich schlafen. Er schlief schnell ein.

Die frische Morgenluft weckte den Kaufmann. Er machte die Augen auf und wollte aufstehen. Aber wo war sein Pferd? Es war nicht da. Ja, das Pferd wurde ihm gestohlen.

Der Kaufmann war sehr traurig. Er ging zu Fuss in die Stadt. In dieser Stadt regierte ein Prinz. Er hiess Carosman Oglu. Der Kaufmann besuchte den Prinzen und sagte:

— Gerechter Prinz, in der Nacht, während ich unter einem Baum schlief, wurde mir mein Pferd gestohlen.

— Warum haben Sie unter einem Baum geschlafen? In der Nähe befindet sich doch ein Wirtshaus. Dort sollten Sie schlafen und nicht unter freiem Himmel.

— Aber, mein Prinz, Sie regieren doch in diesem Land. Und wo Sie regieren, dort fürchte ich mich nicht unter freiem Himmel zu schlafen.

Der Prinz lächelte. Er war mit der Antwort des Kaufmanns sehr zufrieden und sagte:

— Gehen Sie und schlafen Sie noch einmal unter dem Baum.

Der Kaufmann ging in den Wald und legte sich unter den Baum schlafen. Er schlief schnell ein.

Die frische Morgenluft weckte den Kaufmann. Er machte die Augen auf und...

Das Pferd stand ruhig neben ihm.

— 103 —

ETWAS FÜR RECHENMEISTER (¹)

Zwei Bauern begegnen sich auf der Strasse. Der eine heisst Hans, der andere Fritz. Hans sagt:

— Fritz, gib mir ein von deinen Schafen, dann werde ich zweimal soviel Schafe haben wie du.

Fritz antwortet:

— Nein, Hans, gib du mir ein Schaf, dann werde ich genau soviel Schafe haben wie du.

Wieviel Schafe hat Hans und wieviel Schafe hat Fritz?

Die Aufgabe ist klein und ihre Lösung ist leicht. Rechnen Sie bitte...

— Ja, es stimmt. Hans hat sieben Schafe und Fritz hat fünf Schafe. Wenn Fritz dem ersten ein Schaf gibt, so hat Fritz nur noch vier, Hans aber acht Schafe. Also noch einmal soviel. Gibt aber Hans seinem Freund ein Schaf, so hat Hans nur noch sechs und Fritz wird sechs haben. Also genau soviel wie Hans.

## Dalszy ciąg ze str. 9

Dalszy ciąg ze str. 9

Dawniej może bym się nabrała na takie gierki, wystarczył jeden uśmiech Boruty, a gotowa byłam kraść dla niego, zresztą kradłam, ale nie dzisiaj. Więc powiedziałam im „adieu" i wyszłam. Wyobrażam sobie, jak mnie musieli obszczekiwać, zwłaszcza Narcyz.

Nie potrzebowałam udawać, w domu ciotka natychmiast poznała, że spotkała mnie przykrość. „Co ci jest Magda?" — zawołała z przestrachem. Zbliżyła się do mnie, objęła za szyję i oczywiście poczuła alkohol. „Magda! — zawołała — gdzie ty byłaś?" Nie bawiłam się w żadną dyplomację, opowiedziałam jej wypadki dnia. Rzecz jasna, nie ukrywałam, że zadarłam z Narcyzem, bo po co. „Mówiłam ci, przepędź tego czorta, jeszcze cię w co wpakuje — powiedziała ciotka. — Ja wiem, co teraz zrobimy. Pomówię z Geografem i z matką. Pojedziesz do Piotrkowa do ciotki Melanii." „A co ma do tego Geograf?" — zaprzeczyłam. „Jak to? — oburzyła się ciotka. — Dobrze, że trafił się człowiek, który się zajął tobą." „Owa! — przerwałam jej. — Każdy się zajmie, kiedy mu się zapłaci." Ciotka spojrzała na mnie tak, jak się patrzy na wariata, który bez ubrania lata po ulicach. „Nie ty mu płacisz! — krzyknęła. — Płacę ja i matka. Więc nie masz prawa zabierać głosu." Z kolei ja się zdenerwowałam, zresztą nie potrafię się przemóc, muszę się o każdą rzecz wykłócić, chociażbym nie miała racji, lubię grać ludziom na nerwach i koniec. Więc zaczęłam wołać: „To możecie nie płacić, nie prosiłam was o to, dam sobie radę bez was" i tak dalej w tym sensie. Rany, jaką minę miała ciotka, aż mi się jej żal zrobiło. „Magda! Ty naprawdę masz serce z kamienia — zawołała ciotka. — Zupełnie cię nie rozumiem". „Ciocia wie to samo, co i ja" — powiedziałam. „Więc musisz zerwać ze swoimi Narcyzami i Ryżymi. Uciec od nich. Wyjedziesz do Piotrkowa" — odparła. „Już mnie ciocia raz tam wysyłała — zauważyłam z gorzkim uśmiechem — A na drugi dzień przyszła po mnie milicja." Wiedziałam, co ciotka teraz zrobi, pan też z łatwością odgadnie. Właśnie, chwyciła się za serce, podbiegła truchcikiem do kredensu i nalała swoich kropelek. Dyszała przy tym jak po stumetrówce. „Ach, Magda! — wyszeptała — tak dłużej nie można." Niech się pan nie dziwi, zakończyłyśmy tę scenę jak zwykle, rzuciłam jej się na szyję i całowałam, gdzie popadło.

No więc na tym stanęło, że ciotka porozumie się z matką w sprawie mojego wyjazdu do Piotrkowa. Na drugi dzień wypadło mi jechać do Geografa, więc rano przerzuciłam jeszcze to i owo, ale na diabła się zdało, nic mi do głowy nie szło. Więc to spotkanie z Geografem nie wypadło najlepiej, nie trzeba przypominać, dlaczego. Odpowiadałam na pytania Geografa jak ostatnia kretynka. Aż się dziwiłam, że mnie nie zwymyślał i nie przegnał, złego słowa nie miałabym prawa powiedzieć. No więc kiedy tak się jąkałam i dukałam rozmaite głupstwa Geograf mi przerwał. „Magda — powiedział — jak na początek, to wcale nieźle." Musiałam mieć straszną minę, bo zaczął się śmiać, myślałam, że ściany popękają. „Ach — powiedział głosem donośnym — Klawo jest, co Magda?" Potem zaczął spacerować po pokoju i cmoktać głośno ze swojej fajki obrzucając mnie od czasu do czasu przyjaznym spojrzeniem. Więc się nie spodziewałam takiego zachowania, wolałabym już burę, a tymczasem facet zachowywał się tak, jakbym zasługiwała na dyplom uznania. Doszłam do przekonania, że on się ze mną tak bawi, ale nie, w dalszym ciągu sypał pochwały z miną poważną. „Lubisz czytać, Magda?" — zapytał. „Lubię" — powiedziałam. — Ogromnie lubię." „A co ostatnio czytałaś?" Więc powiedziałam parę tytułów, ale to były same kryminały. Przystanął przed swoją biblioteką i wyjął jedną książkę. „Poczytaj sobie" — powiedział. Ale zanim doszedł do mnie zmienił zamiar. „Masz to na własność — rzekł. — Następnym razem powiesz, które opowiadanie najbardziej cię zainteresowało". Wyszłam od niego zupełnie ogłupiała, dobrze, że Kostka nie było, nie wiedziałam jeszcze, że on na moje przyjście przeganiał Kostka, nie chciał mnie krępować.

Byłam do tego stopnia roztrzęsiona, że zamiast do Ireny, miałam zamiar jechać do niej i pogadać o Marioli i o Narcyzie, wsiadłam do siódemki i ocknęłam się dopiero na końcowym przystanku. Więc się już nie wracałam do miasta i poszłam do domu. Ale nie musiałam się wracać, ani dzwonić, aby porozmawiać z Ireną. Sama zadzwoniła do mnie. „Kochanie — powiedziała — telefonuję na prośbę Tośka." „Cóż się stało?" — zapytałam. „Sama wiesz najlepiej. Tosiek cię przeprasza." „Wiesz co Irena? — odparłam jej ostro — powiedz facetowi, niech się odczepi". „Co ty Magda! On cię poważnie przeprasza. Nawet nie wiesz, jak się przejął tymi kwiatami. Nie mógł sobie znaleźć miejsca. Miałaś nosa, żeś przegnała posłańca." „Dziękuję" — odpowiedziałam. „I wiesz co? — głos Ireny stawał się coraz natarczywszy, widocznie Tosiek musiał się dobrze zakręcić koło niej — On ma do ciebie jedną sprawę. Wpadnij do mnie, pogadamy." I powiesiła słuchawkę, wariatka, nie chciała widocznie usłyszeć mojej odpowiedzi, domyślała się, że będzie odmowna. Owszem, można to i tak określić, rzuciła ziarno, niech kiełkuje. Krzyknęłam jeszcze: „A Mariola?", ale już do pustej słuchawki.

No więc, co miałam robić, zła byłam na Irenę, nie wypadało nic innego, tylko czekać, może Mariola w końcu się odezwie. Ale jak mówiłam, byłam w kiepskim nastroju, nie chciało mi się nic robić w domu, więc wzięłam koc i tę książkę od Globusa, zamknęłam mieszkanie i zaszyłam się w najdalszym zakątku ogródka. Rósł tam bez, duże i gęste krzaki, a pomiędzy bzem i płotem było doskonałe miejsce na opalanie. Rozebrałam się i wystawiłam twarz na słońce. Zna pan przecież Chojny, tam niebo jest szerokie, nie takie jak w mieście, słychać tylko szum miasta, jak nad morzem, usposabia to człowieka do różnych myśli. Bardzo było przyjemnie tak leżeć. Odwróciłam się potem tyłem do słońca i wzięłam książkę. „Droga okrężna" Vercorsa. Tytuł mi nic nie mówił, autora nie znałam, zaczęłam przerzucać kartki, nie powiem, ciekawa rzecz, chociaż muszę się przyznać, że niektóre partie opuszczałam. Ale coraz więcej mnie to interesowało i czytałam z coraz większą uwagą. Jednak ostatnie opowiadanie, mówię panu, przeczytałam dwa razy. I potem jeszcze odczytywałam wyjątki. Bez już dawno zakrył mi słońce i nie czułam chłodu cienia. Boże święty, nie mówię, że ryczałam, bo tam nie było nic do płaczu, to była jedna męka, pan powinien zrozumieć, dlaczego. Gdym sobie porównała dzieje Klementyny i moje, to było wstrząsające. Nie wiem czy Globus umyślnie wybrał dla mnie tę książkę, może przypadkowo sięgnął na półkę, jeżeli umyślnie, to już wiedziałam, co myśleć o tym. W pierwszej chwili przezwałam się Klementyną, widzi pan, jeszcze jedno imię zyskałam, że Tosiek był bliższy prawdy, mówiąc na mnie Mała Jill, jaki był los Klementyny, która wyszła z samego dna upadku i nędzy, jak mogłam się z nią porównać?

D. c. n.

# Nasz wywiad z operatorem ŁOT

## WOJCIECHEM KRÓLEM

— Słyszałem od pańskich przyjaciół, a także i przeciwników, że jest pan nomen omen również królem wśród polskich operatorów telewizyjnych. Pozwoli pan jednak, że tym razem zamienimy się rolami, ja będę operatorem w tym wywiadzie i zapytam na wstępie ile waży kamera, którą się pan posługuje?

**— Łącznie ze statywem waga jej wynosi 350 kg.**

— Trzeba więc do tej pracy nie lada kondycji, ale sądzę, że oprócz siły i zręczności operator musi posiadać również jakieś inne przymioty.

**— Niewątpliwie. A przede wszystkim musi mieć szybki refleks oraz pamięć wzrokową i sytuacyjną. Według opinii fachowców najlepszymi operatorami albo raczej „szwenkierami", czyli operatorami prowadzącymi kamerę, są pod tym względem Japończycy. Jeśli chodzi o mnie, to dla podtrzymania kondycji uprawiam gimnastykę siłową łącznie z podnoszeniem ciężarów.**

— Jeśli już jesteśmy przy temacie, to niech pan zdradzi swój kompleks zawodowy.

**— Niestety, jestem bez kompleksów. Ale tak ogólnie to chciałbym zaznaczyć, że praca operatorska nie jest tylko — jak się niektórym zdaje — czynnością techniczną.**

— Tak, zgadzam się, ale nie jest to jednak sztuka indywidualna, operator uzależniony jest przecież w dużym stopniu od wizji reżysera.

— No cóż, dziś jedynie chyba jeszcze pisarstwo jest twórczością indywidualną, choć i tu zdarzają się tandemy, jak na przykład Ilia i Pietrow. Natomiast film, telewizja i w ogóle wszystkie nowsze muzy mają swego „zbiorowego twórcę".

— Jednak tej teorii zaprzecza pańska praktyka. O ile mi wiadomo, tam gdzie przedtem operatorkę wykonywało 2 albo nawet 3 operatorów, to pan sam wystarczająco daje sobie radę. Na czym polega ten eksperyment?

— Otóż wychodzę z założenia, że na spektakl telewizyjny każdy patrzy tylko parą własnych oczu. Ponieważ moimi „oczami" jest kamera, staram się więc jak najwięcej nią ujrzeć, zobaczyć i spostrzec. Udaje mi się to poprzez praktykowanie tzw. długich ujęć czyli longów. Uzyskuję w ten sposób większą czytelność obrazu oraz maksimum operatywności. Metodę tę stosuję najczęściej przy spektaklach z reżyserami, z którymi stale współpracuję. Przedtem przeprowadzam oczywiście próby kamerowe. Wszystkie punkty kompozycyjne ustawiam wtedy pod jedną kamerą. Moim marzeniem jest, by dojść do takiej perfekcji, ażeby całą audycję telewizyjną prowadzić na jednej kamerze, ponieważ to bardzo ożywia obraz. Mój rekord życiowy wynosił pod tym względem 45 minut.

— A pozostałe marzenia?

— Aby podłoga w studio nie była tak „falista".

— Z kim pan ma najwięcej kłopotu podczas realizacji programu?

— Jeśli mam być szczery, to niestety, ale najwięcej z kobietami, a szczególnie z piosenkarkami. Każda z nich chce bowiem wyglądać — co jest naturalne — ładnie. Tymczasem kamera jest bardzo czuła i zdradzi każdą wadę w rysach ludzkiej twarzy. No, ale jakoś i na to znajdujemy radę.

**Roz. K. BADZIAK**

---

# TELEwizja

## TEATR POPULARNY

## NUDA JESIENNA

Również i ten, już szósty z kolei, spektakl Teatru Popularnego: „Nuda jesienna" Niekrasowa w reżyserii Jerzego Antczaka, nie obszedł się bez kontrowersyjnych sporów na temat: wybór sztuki zgodny — czy też nie? — z funkcją telewizyjnego teatru, umasawiającego określone pozycje dramaturgiczne. Wydawać by się mogło, że krytyce telewizyjnej brakuje po prostu konceptu w znalezieniu innego i bardziej konkretnego przedmiotu dyskusji, gdyż w przeciągu pół roku nie potrafiła ona uzgodnić kryteriów oceniających funkcjonalność Teatru Popularnego, co jest rzeczą co najmniej dziwną, jeżeli nie niepokojącą, która zresztą nadaje się do oddzielnego zanalizowania, a tego już nie przewiduje moja mikrorecenzja.

Jeżeli dwa ostatnie spektakle Teatru Popularnego: „List" Fredry i „Wesoła wdówka" Goldoniego miały prawo wzbudzić pewne zastrzeżenia nie tyle z powodu samego wyboru, ile ze względu na dublowanie tego samego gatunku sztuki: dwa razy pod rząd komedie z bliskiego sobie okresu czasu, to już decyzja pokazania jednoaktówki rosyjskiego pisarza, Niekrasowa zasługuje jedynie na aplauz. Niekrasow, jako dramaturg, a przypuszczam, że i jako pisarz również, mało jest znany u nas, lub gorzej: prawie nieznany, i stąd, poznanie chociaż małego wycinka z jego twórczości przyda się bardzo polskiemu widzowi.

„Jesienna nuda" zaklasyfikowana została do komedii, ale odbiega daleko od komedii pojmowanej w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Pozwala się w jakiejś mierze zastosować do niej aforyzm Gogola: „uśmiech przez łzy", lecz i on nie oddaje w pełni specyficznego klimatu „humoru" Niekrasowa. Jest humor znajdujący się na pograniczu groteski, budzący refleksje, która, jak pokazała „Nuda jesienna" nie straciła wiele na swojej aktualności.

Wszyscy aktorzy, jak zwykle zresztą, gdy reżyseruje Jerzy Antczak — znakomici. Rola główna, jakby napisana z myślą o Stanisławie Łapińskim, była wielką kreacją tego aktora, i dobrze się stało, że przypomniano sobie o jego istnieniu. Obok Łapińskiego, niezawodny Ludwik Benoit w roli debilowatego służącego. Bardzo dobra scenografia Masłowskiego i równie dobre opracowanie muzyczne Gesterkorna potęgowały do maksimum nastrojowy klimat sztuki Niekrasowa

O.

---

# NA MARGINESIE JEDNEGO PROGRAMU

„Muzyka łatwa, lekka i przyjemna" stała się tradycyjną nieomal pozycją programu łódzkiego, i z równym zainteresowaniem czeka się na nią, jak na spektakl Teatru Popularnego, chociaż Teatr jest wydarzeniem artystycznym, do czego już „Muzyka" pretendować nie może. Kanikuła w programie typu rozrywkowego trwała nie tylko w okresie wakacyjnym, ale ciągnie się już niestety, przez cały okrągły rok, i to niejeden rok. Telewizja jeszcze dotąd nie wypracowała własnej konwencji dla tego rodzaju audycji. Często odnoszę wrażenie oglądając programy rozrywkowe, że ich autorzy zdają się całkowicie na łaskę przypadku w doborze i wyborze poszczególnych pozycji repertuarowych, zakładając, że i tak coś z tego wszystkiego musi wyjść. Założenie słuszne, bo w efekcie wychodzą, znakomite wręcz często — „chały". Bez smaku, bez ładu, bez składu, przyporządkowane wszystkiemu i niczemu. Zachodzi tu wyraźna sprzeczność: bo z jednej strony powszechnie wiadomo, że zapotrzebowanie telewidzów na programy rozrywkowe jest ogromne.

Czasami myślę w trakcie oglądania jakiejś audycji rozrywkowej: oto kontynuacja hasła: sztuka dla sztuki, czyli — parafrazując na użytek aktualny i telewizyjny — rozrywka z cyklu „sobie a muzom". Tylko — jakim muzom?, i to jest pytanie na które nie potrafię odpowiedzieć. Czasem znowu myślę — dadaizm w rozrywce, — stylów zresztą nie brakuje.

Uderza w tych programach rozrywkowych brak jakiejkolwiek myśli tematycznej, spajającej je w funkcjonalną całość, co razić może nawet i analfabetę, chociaż nie razi twórców tych programów. Bój się Boga, Kowalski, czego ty wymagasz od piosenki, muzyki w lekkich rytmach? — Filozofii? Funkcjonalizmu? Koncepcji tematycznej? Bój się Boga, Kowalski, zupełnie ci się w głowie pokręciło! Rozrywka to rzecz lekka, łatwa, odzwyczajająca od myślenia. Tylko jej słuchasz i na nią patrzysz. Po cóż w końcu myśleć bez przerwy. Skojarzenia nie mogą wychodzić poza te dwa zmysły. Reszta jest burżuazyjnym przesądem. Nudziarz z ciebie fatalny, Kowalski.

Mogę być nudziarz, lecz kanikuła w programie rozrywkowym trwa od lat. Na palcach daje się policzyć kilka udanych magazynów rozrywkowych. Dlatego też wciąż na pierwszoplanowych miejscach utrzymują się — już wieczne, już nieśmiertelne: „Muzyka łatwa, lekka i przyjemna" oraz „Kabaret starszych panów". Analogii pomiędzy nimi przeprowadzić nie można żadnych, gdyż „Kabaret starszych panów" zatrąca o rodzaj rozrywki w typie „variete", z ambicjami intelektualnymi i finezyjnym niekiedy pointowaniem, natomiast „Muzyka lekka, łatwa i przyjemna", jak sam tytuł wskazuje, jest magazynem popularnych szlagierów, od czasu do czasu zahaczająca o historię, może nie tyle o historię, ile o anegdotę — dotycząca jazzu.

Zbliża się nowy sezon. Telewizje zachodnie bazują głównie na programach typu „variete" lub tzw. „show". Oczywiście, podobny „determinizm rozrywkowy" podyktowany jest względami komercjalnymi, których nasza telewizja na szczęście nie zna. Poziom audycji rozrywkowych w telewizjach zachodnich jest raczej słaby, lecz trafiają się niektóre sławne i uznane, jak na przykład amerykańska: „The Ed Sullivan show". Nie chodzi mi zresztą bynajmniej o sięganie do takich wzorów. My wolimy oryginalność, to jasne. Sprawa rozbija się jednak o fakt smutny, że do tej pory telewizja nie znalazła swojego stylu w rozrywce, a co gorsza, wydaje się, że wcale go nie szuka. Tymczasem, czas najwyższy przestać zabawy w chowanego i wystawiać na próbę cierpliwość telewidzów.

Polska satyra ma świetną tradycję i równie świetną aktualną teraźniejszość. Satyry w telewizji, poza „Szopkami noworocznymi", nie widać w ogóle. Dlaczego? Satyra plus muzyka, plus dobrzy wykonawcy których nam przecież nie brakuje, mogłaby stworzyć interesujące połączenie, i już jeden typ magazynu gotowy. Zainteresowanie i popularność, jakimi cieszą się radiowe „Podwieczorki przy mikrofonie" równie nie podsuwają żadnych propozycji twórcom telewizyjnym. Szkoda. Przy dobrych pomysłach efekty nie kazałyby długo na siebie czekać.

ŁOT ma w najbliższych planach realizację nowego programu rozrywkowego. Może kosmate myśli Kowalskiego przydadzą się do czegoś. Byłoby wskazane, aby ŁOT pokazał program rozrywkowy ambitniejszy i oryginalniejszy od stosowanego dotąd schematu.

**KOWALSKI**

**P.S. Sama „Muzyka łatwa" nie posiada wielkich ambicji. Jest z pewnością doskonała reżysersko (— Janusz Kzeszewski). Po ostatniej należy sądzić, że L. Kydryński jest jak najbardziej do zastąpienia, że panna Majdaniec ma głosik słabiutki, choć buzię ładną, że z piosenkarzami wciąż jest kiepsko, i że w sumie „Muzyka" spełnia swoje zadanie łatwej, lekkiej i przyjemnej.**

*Lidia Wysocka w jednym z programów „Muzyki łatwej, lekkiej i przyjemnej". Fot. Z. Krajewski*

# ODGŁOSY tygodnia

## Felieton sceptyka

# LUDDYSTA?

*Pragnę niniejszym rozważyć następującą, poniekąd, psychologiczną kwestię: CZY IM KTO DŁUŻEJ MYŚLI, TO TYM MĄDRZEJ MYŚLI?*

*Nasz stały klient (i nasz pan), felietonista „Expressu" Marek, którego w razie braku lepszych spraw moglibyśmy załatwiać co tydzień, bo na to całą swoją felietonistyką zasługuje, wyznał w ubiegłym tygodniu, że od wielu lat jeździ na różne wczasy i w związku z tym przychodzą mu do głowy różne myśli. W tym roku bawił, jak pisze „w miejscowości pod tytułem Władysławowo" (ach, co za dowcip, co za styl!), wyjątkowo — na rachunek własny. Dotąd bawił tylko na koszt PRL. Ów fakt, że w końcu musiał bawić na rachunek własny do tego stopnia Marka zbulwersował, że miast wypoczywać i nabierać równowagi ducha, począł podglądać: kto właściwie mógł zająć jego stałe miejsce w domu FWP? Owoż, bez trudu stwierdził, poszedłszy pod jedyny dom wczasowy we Władysławowie: a jakże, posiadacze „Syren" i „Wartburgów"! Skończywszy na tym spostrzeżeniu całą dziennikarską obserwację Marek jął dumać. Dumał i dumał cały urlop, a co wydumał streszczę ewidentnie:*

*Wszystkiemu winni są automobiliści. To oni przechwytują skierowania FWP. To oni powodują nieprawidłowości w rozdziale tych skierowań i naruszają przywileje klasy robotniczej. To oni demoralizują obdarzone społecznym zaufaniem rady zakładowe, które im są usłużne. Precz z automobilistami! Nie wpuszczać ich do domów FWP i do najbardziej atrakcyjnych miejscowości!*

*Gdybym to nie ja streszczał, tylko ktoś mnie referował panamarkowe myśli, to nie dałbym wiary, jakem sceptyk. Nie wierzyłbym, że w polskiej prasie roku 1962 może się znaleźć ktoś uprawiający tak piramidalną demagogię. (Gdybym używał leksykonu Marka, musiałbym dodać: tak politycznie szkodliwą demagogię.)*

*Rozważmy wszystko po kolei a elementarnie, stosownie do możliwości percepcyjnych Marka. I sprawę wczasów i sprawę posiadaczy samochodów i jego na tym tle fobię.*

*Prawo korzystania z Funduszu Wczasów Pracowniczych dane jest wszystkim członkom związków zawodowych, o ile dopełniają swoich członkowskich obowiązków, to znaczy m. in. płacą składki. Wysokość składki zależy od wysokości zarobków. Ze względu na ową wysokość zarobków istnieją różne stopnie odpłatności za skierowania. Istnieją także skierowania pełnopłatne, skalkulowane według realnych kosztów utrzymania. FWP sprzedając je nie robi nikomu żadnej łaski. Łaska polega co najwyżej na tym, że człowiek nie jedzie „w nieznane", tylko do locum dobrze zorganizowanego, chociaż nie zawsze.*

*Nie wiem, jak przebiega w rzeczywistości rozdział wczasów ulgowych. Wymagałoby to skrupulatnych studiów. To tylko Marek ocenia rzeczywistość pi razy oko. Zapewne zdarzają się wypadki kumoterstwa, tak dobrze znane Markowi z autopsji. Ale stawianie radom zakładowym generalnego zarzutu „usłużności" wobec pewnych osób, jest, najdelikatniej biorąc, krzywdzące.*

*Z posiadaczami samochodów sprawa jest bardziej złożona. Wiadomo, że nacisk wzorów cywilizacji zmotoryzowanej jest w Polsce tak silny, iż posiadanie samochodu staje się jednym z pierwszoplanowych dążeń osobistych. Przynajmniej w grupie ludzi średnio zarabiających. Jest to zjawisko socjologicznie i psychologicznie bardziej złożone niż to, że jeden lubi wódeczkę, drugi dziewczynki, a trzeci własny środek lokomocji. Złożoność i powagę (sic!) problemu samochodoposiadanionianii wykazał ostatnio w „Polityce" Krzysztof Wolicki. Onże wskazuje na paradoksalny fakt, że w Polsce jest 8 razy więcej posiadaczy samochodowych praw jazdy niż właścicieli czterech kółek, i z wielu mocnych przesłanek suponuje, iż w Polsce tą manią objęta jest milionowa rzesza młodej inteligencji. Obok manii istnieje obiektywna możność (a raczej niemożność) jej zaspokojenia. Rozbieżność między nimi powoduje w świadomości społecznej stan, zwany frustracją. Ci, którzy jawnie bądź ukrycie pragną mieć samochód, miewają za złe tym, którzy go już, różnymi drogami, zdobyli. Drogi bywają, oczywiście, uczciwe i nieuczciwe Uczciwe kosztują wiele wyrzeczeń i rezygnację z innych standardowo-życiowych aspiracji. Widzieć w posiadaczach samochodów samych rodzimych Rotszyldów, to znaczy nie rozumieć ani na jotę aktualnych problemów naszej ekonomiki i cywilizacji.*

*Proponując swego rodzaju dyskryminację posiadaczy samochodów, wśród których znajdują się pracownicy nauki, inżynierowie, lekarze, a także liczni różni inni klienci ORS, Marek stawia poza nawiasem związków zawodowych całą grupę społeczną. A czyni to „Expressis" verbis w przede dniu... Kongresu Związków. Być może, w pewnej statystycznie nawet licznej grupie ludzi, w której posiadanie samochodu nie jest uznaną wartością. Marek zdobędzie poklask. Ale to jest właśnie uprawianie demagogii. Paskudnej, bo w końcu antyinteligenckiej demagogii.*

*Wracając do problemu postawionego na wstępie. Okazuje się, że jeżeli ktoś dłużej myśli, to nie znaczy wcale, że mądrzej myśli. Nawet jeżeli myśli przez cały urlop, czy tylko od niedzieli do niedzieli.*

*SCEPTYK*

Redaguje Zespół * Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79 * Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 1.—, kwartalnie zł 12.— * Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy"
Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17
Zam. 2568. IX. 62. A-6

## Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów"

*Fot. W. Stachlewski*

# DRŻYJCIE WAGAROWICZE

W ubiegłym roku Kuratorium wspólnie z TPD i milicją zorganizowało 5 ogólnołódzkich kontroli parków i kin w poszukiwaniu wagarowiczów. Na skalę dzielnic kontrole takie były organizowane nawet częściej. Samorzutnie do akcji włączyli się bileterzy kinowi, którzy „podejrzanym" sprawdzali legitymacje.

W bieżącym roku akcja kontrolna stanie się regułą. Dla ułatwienia kontroli każda legitymacja uczniowska opatrzona zostanie nadrukiem R lub P, co będzie oznaczało, że uczeń uczęszcza do szkoły rano, czy po południu. Sprawa wagarów jest w tej chwili bardzo aktualna, bo nasi milusińscy wagarują najliczniej w okresach ciepłych — wiosną i jesienią. Zima natomiast budzi w nich „głód wiedzy".

# SZCZEROŚĆ za SZCZEROŚĆ

W wielu szkołach naszego miasta pierwszoklasiści otrzymali w tym roku tarcze szkolne przypięte do... torebek z cukierkami. Ów gest ma nie tylko miłe znaczenie grzecznościowe, jego wymowa jest znacznie bardziej ogólna. Oto szkoła po raz pierwszy masowo i otwarcie przyznała się, że jest instytucją przykrą dla ucznia. Należy przypuszczać, że pierwszaki, wzruszone taką szczerością, skoro tylko trochę podrosną, odpłacą szkole z nawiązką i równie szczerze.

# ODGŁOSY NOWEGO ROKU SZKOLNEGO

# Z OBOWIĄZKIEM NA BAKIER

**Kuratorium otrzymało od lokatorów pewnego domu w Śródmieściu zbiorowy list z doniesieniem, że jest w kamienicy dziecko, które nie chodzi do szkoły. Ten fakt świadczy niedwuznacznie iż przestrzeganie powszechnego obowiązku szkolnego zdążyło się już głęboko zakorzenić w świadomości społeczeństwa.**

**Wypadków uchylania się od obowiązku w ubiegłym roku szkolnym naliczono w Łodzi zaledwie około 20. W większości chodziło o dzieci Cyganów, prowadzących życie półkoczownicze. Pewien 11-latek nie chodził do szkoły, bo rodzina używała go do pracy na roli. Inny znowu zatrudniał się w charakterze woźnicy. Była też uczennica VI klasy, której w nauce przeszkodziło niańczenie dziecka (własnego)**

**O ile takie wypadki są sporadyczne, to okresowe opuszczanie szkoły — wręcz nagminne. Mieliśmy w ub. roku szkolnym 101.500 uczniów w szkołach podstawowych. Z nich przeszło połowa (59 tysięcy) opuściła od 1 do 15 dni nauki. Do 20 dni opuściło przeszło 20 tysięcy uczniów, zaś do 50 dni — przeszło 13 tysięcy. Tych, którzy nie zjawili się w szkole ponad 100 dni (zatem przez ponad połowę roku szkolnego) było przeszło 300.**

**W ogóle udało się naliczyć tylko 5,5 tys. uczniów (a więc zaledwie nieco ponad 5 procent), którzy nie opuścili ani jednego dnia nauki. Samymi chorobami takiej absencji nie udałoby się „nastukać". Zawinili przede wszystkim rodzice brakiem nadzoru. Ze smutkiem trzeba zauważyć, że przy tej okazji odbija się, jak w krzywym zwierciadle, dyscyplina pracy dorosłych.**

# UWAGA, KRĘGOSŁUP!

Wiadomo, dzieciaki wolą teczki. Teczka może służyć jako broń w walce wręcz i do rzucania w przeciwnika na odległość, zimą można ją wykorzystać w charakterze saneczek. Rodzice są pobłażliwi i pozwalają nawet pierwszoklasistom na noszenie teczek.

Tymczasem teczka w ręku malucha, to poważne niebezpieczeństwo — perspektywa skrzywienia kręgosłupa. W wielu krajach, np. w Szwecji i Jugosławii pod surowym rygorem przestrzega się nakazu noszenia tornistra do 7 klasy włącznie. U nas nakaz dotyczy uczniów klas od pierwszej do czwartej. Ale, według obliczeń Kuratorium, przynajmniej połowa dzieci i rodziców nakaz ów ignoruje. Widać, zwichnięcie kręgosłupa pozostaje nadal naszą ulubioną chorobą narodową.

# CHULIGANI na WIEŻY

Zdewastowana przez okupanta, a uruchomiona powtórnie w roku 1947, funkcjonowała sobie łódzka wieża spadochronowa na Zdrowiu przez następne 15 lat, ku uciesze śmiałków i licznych gapiów.

Wszakże z początkiem anno 1962 cofnięto Aeroklubowi Łódzkiemu etat dozorcy wieży. W prasie o tym nie pisano, ale chuligani zwiedzieli się szybko, wdarli się na szczyt i całkowicie zniszczyli wszystkie urządzenia z kołowrotami włącznie. Mieliśmy więc po raz pierwszy od lat piętnastu pierwszy sezon bez wieży spadochronowej, z której — bywało — potrafiło dziennie korzystać nawet 200 amatorów emocji.

Mądry Polak po szkodzie — od czerwca znalazł się znowu etat dla dozorcy. Jednak wieża nie będzie prawdopodobnie już w tym sezonie uruchomiona, bo remont się przeciąga. A szkoda, bo wiatry mamy wyjątkowo „pomyślne" i można by się pohuśtać do woli.

# W ODPOWIEDZI NA APEL

Redakcja nasza otrzymała z prośbą o wydrukowanie, tekst apelu Inspektoratu Ruchu Drogowego Komendy Głównej MO, wystosowanego w związku z początkiem roku szkolnego.

W apelu przypomina się, że w tych dniach wychodzi po raz pierwszy samodzielnie na ulice 730 tysięcy pierwszoklasistów, że w roku ubiegłym zginęło w wypadkach ulicznych 182 dzieci, a ponad 3.600 odniosło rany. Autorzy apelu piszą: „Życzymy młodzieży dobrych wyników w nauce w rozpoczynającym się roku szkolnym. Jednocześnie jednak z niepokojem myślimy o tym, że na drogach miast i osiedli znajdzie się nowa fala młodych, niedoświadczonych użytkowników dróg".

To bardzo pięknie, że Inspektorat Ruchu Drogowego tak serdecznie przejmuje się tą sprawą. Przypominania o grożących niebezpieczeństwach nigdy nie jest za wiele.

Z drugiej jednak strony ów piękny apel nosi na sobie poniekąd piętno abstrakcji i „drętwej mowy". Wystosowanie apelu nic nie kosztuje, ale niewiele również załatwia.

Gdyby tak w ślad za apelem, o czym pisze się nie od dzisiaj, na ulicach, pojawili się funkcjonariusze ruchu drogowego, by w godzinach przychodzenia i wychodzenia dzieci ze szkoły objąć służbę na ruchliwych skrzyżowaniach, gdzie nie ma stałej regulacji ruchu... Wówczas słowa zostałyby poparte czynami.

We wszystkich zresztą ruchliwych miastach Europy (obserwowaliśmy to na własne oczy w Paryżu), tak właśnie się postępuje. U nas nie Paryż i nie trzeba od razu setki milicjantów. Ale, jak twierdzą specjaliści z Kuratorium, „szkolna" regulacja ruchu jest konieczna przynajmniej na dwóch skrzyżowaniach: Sienkiewicza i Tuwima oraz Piotrkowskiej i Żwirki.

Co niniejszym postulujemy w odpowiedzi na apel.

# Korespondencja

Panie Redaktorze!

Czy byłby Pan uprzejmy wyjaśnić mi, jakim prawem na łamach „Odgłosów", pisma walczącego o czystość języka polskiego mógł się ukazać potwór językowy?

Ogórki mają się szczęśliwie ku końcowi, co akcentując, „Odgłosy" raczą nas na deser swego rodzaju „Potworem z Loch-Ness". Już Pan wie o co chodzi? Właśnie, właśnie. Ostatnia strona numeru 34 (234) z dnia 26 sierpnia b., notatka „Postęp w TOS". Czy Autor tego artykuliku zapatrzył się na kolejarskie „samochodowanie" (proszę obejrzeć tablicę wiszącą nad bramą garażu PKP przy Towarowej) i pragnie uszczęśliwić nas terminem „motocyklowania"?

Znając i doceniając siłę oddziaływania prasy na umysły ludzi obawiam się, iż w okresie „zadaszania budów", „wykonu planów" itp., ten dziwoląg „weźmie się i przyjmie" wśród szerokich mas. Naprawdę nie chciałbym, aby mój tygodnik ponosił odpowiedzialność za wylansowanie takiego wyrażenia.

Czy wobec tego, Panie Redaktorze, nie lepiej byłoby skłonić Autora koszmarnego słowa do umieszczenia na jednym z czołowych miejsc najbliższych „Odgłosów" jakiegoś sprostowania. „Postęp w TOS" nie musi być chyba okupiony „postępem" w tworzeniu temu podobnych neologizmów.

Przesyłam wyrazy szacunku

**JĘDRZEJ OWCZAREK**

**Od redakcji:**

**Niestety, ma pan rację.**

PZU
zapewnia
spokojną
starość
ubezpieczeniem RENT
4502/k